

TRAMWAJ SŁUPSKI

MIESIĘCZNIK DLA ZIEMI SŁUPSKIEJ

NR 16 / VI - VIII 2025

ISSN 2720 - 2194

Cena: bezpłatny



DWUKADENCYJNOŚĆ

Bo władza lokalna
to nie dziedziczna monarchia

Cała prawda o CIC – Ministerstwo Pozorów – Nasi chłopcy – Anatomia konfliktu

– Teatr w ruchu – Opowiem Ci dom – Dziewczyna ze Słupska – Ceramiczna Nowobramska

KWADRANS CAFE

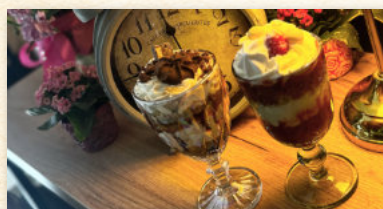
miejsce, do którego chce się wracać



🏠 Nowobramska 2, Słupsk

📘 facebook.com/kwadranscafe

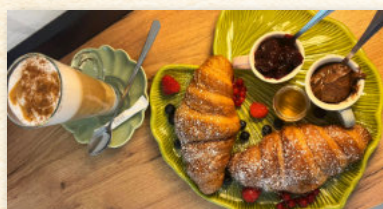
☎ 517 195 042



◇ ◇ ◇



◇ ◇ ◇



◇ ◇ ◇



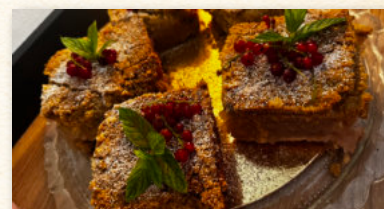
W samym sercu miasta powstała przestrzeń, która łączy smak, aromat i klimat idealny na każdą porę dnia. Kwadrans Cafe to nie tylko kawiarnia – to miejsce spotkań, odpoczynku i kulinarnych przyjemności.

Już od progu czuć zapach świeżo parzonej kawy i wypieków, które codziennie powstają na miejscu. W menu znajdziemy szeroki wybór ciast i deserów, a prawdziwą perełką są lody rzemieśnicze, przygotowywane według autorskich receptur, bez sztucznych dodatków.

Na miłośników wytrawnych smaków czekają bajgle na ciepło i zimno – chrupiące, sycące i pełne świeżych składników. Nie brakuje też kanapek żytynich z kurczakiem lub łososiem, które idealnie sprawdzą się na lunch. Do tego maślane croissantsy, których nie powstydziliby się francuska piekarnia.

Kwadrans Cafe to także kawa w najlepszym wydaniu – od klasycznego espresso po modne latte z nutą wanilii czy syropu klonowego. W ofercie znajdziemy również herbaty liściaste, idealne na spokojne popołudnie. A wieczorem? Kawiarnia zmienia charakter – serwowane są wina, piwa i drinki, co czyni to miejsce idealnym także na wieczorne spotkania ze znajomymi.

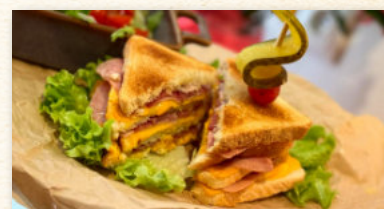
Zadbane wnętrze, przytulna atmosfera i przyjazna obsługa sprawiają, że w Kwadrans Cafe każdy znajdzie swój ulubiony moment dnia – na szybki poranny bajgiel, popołudniową kawę z ciastem czy wieczornego drinka z przyjaciółmi.



◇ ◇ ◇



◇ ◇ ◇



◇ ◇ ◇



ROZKŁAD JAZDY:

KIERUNEK JAZDY

Wstępniak „Dzień – nie taki dobry”	4-5
Ministerstwo Pozorów	6-9
Dwukadencja	10-11
Potwór Frankensteina	16-18

KIERUNEK HISTORIA

Krzysztof Kuczyński	20-23
Nasi chłopcy	24-25
Nowobramska jak przed wojną	26-27

MIJANKA NA RYNKU

Z fontanny do dyskusji	28-30
Słupskie przystanki	31-33
...Słupia dla miasta	34-37

KIERUNEK KULTURA

„Podwory”	38-40
Teatr w ruchu	44-47

KIERUNEK CZŁOWIEK

Zawsze byłam dziewczyną ze Słupska	41-43
Opowiem Ci dom	48-49

PRZYSTANEK NA ŻĄDANIE

Centra Integracji Cudzoziemców	12-15
Anatomia konfliktu	50-55
Utrata Blesławic	56-59
Inwestycja w zdrowie	60
„Biznes dobrze chroniony”	61-63

KIERUNEK SPORT

Mecz Gwiazd w Słupsku	65-66
-----------------------	-------

ZAŁOGA TRAMWAJU

DYSPOZYTOR I MOTORNICZY:	Urszula Markowska-Merecka
KONDUKTORZY:	Piotr Merecki, Joanna Kielbik
PASAŻEROWIE:	Marianna Halcarz, Ewa Bielska, Anna Majewska, Piotr Merecki, A. Ka
ZAJEZDZIA:	ul. prof. Tadeusza Browicza 3/2 76-200 Słupsk rdakcja@tramwajslupski.pl
BAZA:	Agencja marketingowa KIEUBIK w Słupsku
DRUKARNIA:	Drukarnia „KOLUMB” 41 - 506 Chorzów, ul. Kaliny 7
SKŁAD I PROJEKT OKŁADKI:	Michał Gralak

„Kierunek jazdy” – wstępniak, felietony · „Mijanka na Rynku” – tematy ważne · „Przystanek – Wojska Polskiego” – historia · „Przystanek – Nowobramska” – polityka i gospodarka · „Torebka jakby damska” – tematy różne · „Kierunek kultura” – kultura · „Kierunek sport” – sport · „Przystanek na żądanie” – reklamy i artykuły sponsorowane · Wydawca magazynu „Tramwaj Słupski” nie ponosi odpowiedzialności za treści reklam i art. sponsorowanych, a także za poglądy autorów zawarte w zamieszczonych tekstach. Reprodukacja oraz przedruk wyłącznie za zgodą wydawcy. Wszystkie materiały publikowane w niniejszym magazynie są własnością wydawcy i są chronione prawami autorskimi.



Urszula Markowska-Merecka

DZIEŃ – nie taki dobry

Chyba trudno dziś napisać coś, co byłoby choćby w połowie wystarczające. Żeby objąć myślą i słowem wszystko, co się dzieje. Świat pęka jak szyba, której już nikt nie skleja, tylko przestaje patrzeć przez nią z bliska.

W Gazie dzieci umierają z głodu - nie symbolicznie, nie na wykresach, ale naprawdę. W ciszy, w bólu, w braku wszystkiego, co podstawowe: wody, mleka, leków, dostępu do pomocy. Umierają też od bomb, od odłamków, od walących się na nie domów, od niewidocznych granic politycznych, które wyznacza się dziś nie ołówkiem, ale rakietą. Strefa Gazy została zamieniona w przestrzeń, której nie można już nazwać ani wojenną, ani cywilną. To laboratorium zbiorowego karania - systematycznego, zaplanowanego i bezkarnego. Izrael, państwo zbudowane na doświadczeniu Zagłady, podjął decyzję o całkowitym odcięciu tego obszaru od życia. Z premedytacją. Wstrzymano wodę. Prąd. Dostawy humanitarne. Czasami wpuszcza się coś symbolicznie: konwój, kilka ciężarówek z mąką, kroplą nadziei - ale to tylko polityczny teatr. Głód nie jest skutkiem ubocznym. Głód jest bronią.

A świat słucha tego bez złości, bez wstrząsu. Bo wszystko, co dziś mówimy, musi być zgodne z oczekiwaniami. Krytyka Izraela - nawet najłagodniejsza, najbardziej wyważona - oznacza, że dostajesz etykietę. Automatyczną. Szybką. „Antysemita”. Kiedyś to słowo niosło wstyd. Dziś jest wygodnym narzędziem do zamykania ust. Ale w moim przypadku to oskarżenie o ironicznym ciężarze - bo historia mojej rodziny i historia tego kraju spletały się głębiej, niż mogliby zrozumieć ci, którzy skleili swój pogląd z pięciu tweetów i jednego podręcznika.

Ale nie o prawdę tu chodzi. Tu chodzi o porządek, o kontrolę, o nowy podział świata na tych, którym wolno mówić i tych, którzy mogą już tylko słuchać.

Niepokoi mnie to coraz bardziej. Ten schemat, który widzę już nie tylko w kontekście Gazy. Coraz częściej widzę go i tutaj - w Polsce, w naszym regionie, w Słupsku. Milczenie stało się rozsądne, a mówienie - ryzykowne. Zgoda to dziś waluta, a nie przekonanie. I choć rzeczywistość domaga się komentarza, to najpierw sprawdzasz, kto patrzy.

A przecież Gaza to nie jedyny punkt, w którym nasza wrażliwość przeszła w stan uśpienia.

W Ukrainie trwa wojna, do której zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Przyzwyczailiśmy się do trupów, do okopów, do mapek na pasku TVN-u. I najgorsze jest to, że przestaliśmy czuć wstyd, że przestaliśmy czuć. W zamian mamy komentarze o „zmęczeniu uchodźcami”, jakby solidarność miała termin ważności. Wszystko jest dziś na czas określony - łącznie z człowieczeństwem. Solidarność, jak wszystko inne - zmalala do sezonowej emocji.

W Polsce trwa cicha rewolucja - taka, co nie krzyczy, tylko układa pionki. Minister sprawiedliwości, nowy, ambitny, już tasuje karty i sprząta po poprzednikach z prędkością, którą można by uznać za godną, gdyby nie to, że niektórzy wciąż nie zdążyli się przywitać. Hołownia, polityczna matrioszka, po nocach odwiedza Jarosława Kaczyńskiego, zapewne w sprawie kraju, choć równie dobrze mógłby czytać mu bajki na dobranoc. I nikt już się nie dziwi. Bo kiedy Sejm zmienia się w kabaret z ciężką scenografią, absurd zaczyna pachnieć normalnością.

W tym samym czasie poseł Grzegorz Braun dalej robi swoje monodramy w stylu „szokuj i krzycz”, a Antoni Macierewicz właśnie stracił immunitet, choć nie sposób ustalić, czy to początek rozliczeń, czy tylko przerwa na reklamy.

Andrzej Duda - prezydent memów, selfie i orderów rozdawanych z częstotliwością kart lojalnościowych - wraca do Krakowa. Zostawia po sobie niechlubną tradycję przemówień, które przypominały kazania wściekłego katechety, ale długopisy pozabierał na pamiątkę. W bagażu: uniewinniony Bąkiewicz i orzeł z klapy ze spuszczoną głową. Głos? Do końca kadencji głównie podniesiony. Styl? W stylu: „czemu nie klaszczecie?”. Gdyby prezydentura była talent show, to jury dawno nacisnęłoby czerwony przycisk.

Na jego miejsce wchodzi Karol Nawrocki - doktor historii, absolwent MBA, patriota, konserwatysta i, co najważniejsze, człowiek, który wie, jak się wydzierać. Już pierwszym wystąpieniem dał do zrozumienia, że będzie głośno. Drugim potwierdził, że to nie był przypadek. W nowej erze dyplomacji najważniejsze jest, by mówić jak najgłośniej - reszta się jakoś dopisze. I nikt już nie wie, czy to jeszcze prezydent, czy już speaker stadionowy z aspiracjami na Watykan.

Ale to przecież Polska. Tutaj wszystko może się zdarzyć - byle po godzinach, za zamkniętymi drzwiami, w rytm hymnów, których nikt już nie śpiewa.

A w Słupsku?

W Słupsku - jak zwykle - wszystko jest w normie. Czyli: absurd goni absurd, ale z powagą.

Mamy Ring, który kosztuje tyle, co ambicje na europejską stolicę kultury, ale nikt nie wie dlaczego tak drogo. Mamy przystanki autobusowe na Ryczewie, które są tak piękne, że szkoda psuć ich ciszę przejazdem jakiegokolwiek autobusu. Estetyczne, ciche, medytacyjne. Przypominają trochę kapliczki - tyle, że zamiast modlitwy jest aplikacja, która pokazuje, że nic nie przyjedzie.

Mamy też debatę o kinie Milenium. Prywatne, ale przecież nasze. Symboliczne. Ostatni bastion lokalnych sentymentów, oddany w centrum miasta bez jednego porządnego pytania do mieszkańców.

Może dlatego, że władza pyta tylko wtedy, gdy zna już odpowiedź? Dostaliśmy właśnie miliony jako miasto „zagrożone upadkiem”. I zamiast refleksji - imprezka. Zamiast pytań - podziękowania. Zamiast diagnozy - promocja sukcesu. Jakby ta dotacja była medalem olimpijskim, a nie ostrzeżeniem od rzeczywistości.

W Ratuszu? Komunikacja raczej kablowa. Informacje dawkokwane jak antybiotyki.

Pytania? Ryzykowne. Bo radny, który ośmielił się zapytać o coś więcej niż pogodę, zostaje z automatu hejterem, sabotażystą, a może nawet hamulcowym w rozwoju miasta.

Miasta, w którym faszysty mogą maszerować bez przeszkód. Gdzie w ratuszu wiszą portrety nazistowskich, wojennych burmistrzów, ale władze nazywają to trudną historią. Bo poległym nie należy się szacunek, a hitlerowcom tak. Miasta gdzie polityka historyczna miesza się z urbanistyczną, a beton - jak wiadomo - jest najtańszą formą nadziei. Wystarczy zalać i gotowe. Rynek mamy więc nagrzany, zakaz sprzedaży alkoholu po zmroku też już działa, czyli - jak to się mówi - jest klimat.

Pomysł? Plan?

Owszem. Na razie: postawić jeszcze kilka przystanków bez autobusów. Może wtedy wreszcie wszyscy usiądziemy, pomyślimy - i dojdziemy do jakiegoś sensownego wniosku.



MINISTERSTWO POZORÓW



Jak Rząd zmienił społeczeństwo obywatelskie w PR-ową dekorację

W rządowej grze pozorów nadszedł czas na kolejny ruch - taki, który udaje „strategię”, a w rzeczywistości przypomina porządki w garażu, gdzie wyrzuca się wszystko, co zbiera kurz i nie pasuje do nowego wystroju. Likwidacja stanowiska ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego to jak wynoszenie z domu muzealnego eksponatu, który od początku był atrapą. Ładnie wyglądał na zdjęciach, goście robili sobie przy nim selfie, ale nikt nie umiał odpowiedzieć, po co właściwie stoi.

Ministerstwo przypominało manekina w sklepowej witrynie - miał udawać, że „coś się dzieje”, choć od dawna nikt nie sprawdzał, czy w środku jest jakiegokolwiek życia. Oficjalnie mówi się o „rekonstrukcji, porządkowaniu i racjonalizacji”, ale prawda jest bardziej prozaiczna: politycy uznali, że atrapy nie trzeba już udawać. Przez półtora roku służyła za element wystroju władzy - trochę jak te sztuczne kwiaty na konferencyjnym stole, które mają dodać wrażenia profesjonalizmu, choć w rzeczywistości tylko zakrywają pustkę. Teraz uznano, że można je spokojnie wyrzucić, bo i tak nikt nie pamięta, po co były. Ministerstwo istniało, ministeriały były, nawet odznaka się znalazła. Tylko efektów - jak nie było, tak nie ma.

EXPOSE, KTÓRE MIAŁO BYĆ OBJAWIENIEM

Pamiętacie ten moment? Donald Tusk, świeżo upieczony premier wolności, z zapalem o „umocnieniu poczucia obywatelskiej podmiotowości”, „procesie obywatelskiego odrodzenia” i „możliwości wpływania na rzeczywistość polityczną”? Brzmiało to niemal jak tekst z folderu kampanii Amnesty International - do momentu, w którym rzeczywistość upomniała się o swoje.

Bo obietnice były odważne: aborcja, związki partnerskie, odpartyjnienie państwa, pełnoprawna współpraca z NGO-sami, a nawet coś na kształt rewolucji obywatelskiej. Tyle że rewolucje nie mieszczą się w PR-owych briefach. A najwyraźniej tylko tam społeczeństwo obywatelskie miało się dobrze.

TRZY RESORTY: RÓWNOŚĆ, SENIORZY, OBYWATELE - TRZY SPEKTAKULARNE NIEPOWODZENIA

W pakiecie powyborczych obietnic, które miały dowodzić nowego, postępowego oblicza państwa, znalazły się trzy ministerialne stanowiska: ds. równego traktowania, polityki senioralnej i społeczeństwa obywatelskiego. Brzmiało to niczym deklaracja ideowa rodem z europejskiej demokracji w wersji premium - tyle że w praktyce okazało się katalogiem „stanowisk do rozdania” między koalicjantów, jakby polityka była grą w Monopoly, a każdy chciał mieć własny hotel przy Alejach Jerozolimskich.

Ministerstwo ds. równego traktowania miało wprowadzić rewolucję w prawach obywatelskich. Związki partnerskie? Liberalizacja prawa aborcyjnego? Premier mówił o tym tak, jakby jutro miało nastąpić. Tyle że jutro okazało się „kiedys”, a „kiedys” w polityce równa się „nigdy”. Koalicja, mimo że liczebnie silna, wykazała się odwagą porównywalną do kota, który woli patrzeć na wodę, niż wejść do kałuży. W efekcie tematy fundamentalne dla praw człowieka zostały zamiecione pod dywan, jakby same wstydziły się swojej kontrowersyjności.

Ministerstwo ds. polityki senioralnej - również z wielkim hukiem ogłaszane jako wyraz troski o jedną z najbardziej zaniedbanych grup społecznych - wyprodukowało projekt bonu senioralnego, który po 500 dniach nadal nie doczekał się dyskusji na posiedzeniu rządu. Seniorzy zaś, zamiast realnych reform, otrzymali kolejne okrągłe słowa i uśmiechy z plakatów. Można odnieść wrażenie, że jedyną polityką senioralną jest polityka przeczekania: może problem sam się rozwiąże, kiedy demografia zrobi swoje.

Spółeczeństwo obywatelskie? Tutaj rząd popisał się wyjątkową kreatywnością: powołał urząd, który z założenia miał pilnować obywatelskiej podmiotowości, po czym skutecznie odciął go od wpływu na kluczowe decyzje.

To jak zaprosić obywateli na bankiet, posadzić ich w szatni i dać im w nagrodę talon na kawę. Ministerstwo ds. społeczeństwa obywatelskiego stało się bardziej teatrem gestów niż realnym centrum decyzyjnym, a każda próba wyjścia poza PR-owe dekoracje kończyła się politycznym „ale” - albo zwykłym milczeniem.

CO TO MÓWI O RZĄDZIE?

Te trzy ministerialne „eksperymenty” pokazały coś więcej niż brak efektywności - ujawniły brak spójnej wizji i strach przed konfrontacją z własnymi obietnicami. Koalicja 15 października woli odważne hasła niż odważne ustawy. Na wiecach mówi się o prawach kobiet i równości, w kuluarach - o tym, jak nie stracić kilku punktów poparcia w sondażach.

Dla społeczeństwa oznacza to jedno: narasta frustracja. Ci, którzy uwierzyli, że rząd Tuska i jego koalicjanci zrealizują długo oczekiwane reformy, dziś czują się oszukani. Zaufanie społeczne działa jak akumulator - kiedy politycy je zużywają, a nie ładują, w końcu prąd przestaje płynąć. Zamiast autentycznej współpracy mamy więc festiwal pustych gestów - od odznak po jednolite święta obywatelskości, które niczego realnie nie zmieniają.

MINISTERSTWO GESTÓW

Najpierw była minister Buczyńska - osoba z doświadczeniem, ale bez przełożenia na rząd. Potem minister Porowska - również z sektora, lecz szybko oddelegowana na front kampanii Szymona Hołowni. To właśnie jej kadencja - ożywcza jak list motywacyjny do grantodawcy - zaowocowała wysypem symboli:

- dzień społeczeństwa obywatelskiego (najpierw 15 października, potem 24 kwietnia - w zależności od potrzeb politycznych i astrologicznych);
- odznaka „Zasłużony dla rozwoju społeczeństwa obywatelskiego” (idealna do przypięcia obok partyjnej legitymacji);

- program „Moc Małych Społeczności” - czyli granty dla organizacji z prowincji, najlepiej takich, które nie są zbyt głośne ani zbyt krytyczne.

Punktem kulminacyjnym tego PR-owego kabaretu było wysłuchanie publiczne w sprawie strategii migracyjnej - potraktowane przez rząd jak zbiorowa sesja terapeutyczna dla aktywistów. Posłuchaliśmy, przyjeśliśmy do wiadomości, nic się nie zmieni. Dziękujemy. Następnym.

Po 15 października 2023 r. NGO-sy były gotowe. Gotowe do współrzędzenia, do budowania, do naprawy. Zamiast tego rząd potraktował je jak asystentów z czasów feudalnych - mają być, kiedy są potrzebni, zniknąć, kiedy przeszkadzają.

Zespoły eksperckie miały generować zmiany - skończyły jako fora frustracji. Rekomendacje trafiały w próżnię, prace powielały się z innymi ciałami doradczymi, a koordynacja była tak transparentna, że nawet członkowie zespołów nie wiedzieli, gdzie trafiają ich raporty.

Ministerstwo zapowiedziało nowelizację ustawy o działalności pożytku publicznego. Środowisko pozarządowe podniosło głowę - wreszcie! Po czym... powstała „mała nowelizacja” - przygotowana w zaciszu departamentu, bez konsultacji, bez informacji, bez sensu. Czyli klasyka.

CZY KTOŚ JESZCZE PAMIĘTA, PO CO TO WSZYSTKO?

Patrząc dziś na dorobek rządu w kwestii społeczeństwa obywatelskiego, trudno oprzeć się wrażeniu, że cała powybiorcza euforia skończyła się na etapie podpisywania deklaracji, robienia pamiątkowych zdjęć i chwytliwych hashtagów. Wszyscy - absolutnie wszyscy! - obecni koalicjanci złożyli publiczne zobowiązania do dialogu, współpracy i tworzenia „dobrego prawa dla organizacji”. Stało się to przy fleszach kamer, na tle wielkich słów o demokracji i podmiotowości. A potem te same deklaracje spoczęły w po-

litycznej szufladzie, obok dawno zapomnianych exposé i folderów z kampanii.

Nie powrócono do żadnej z wypracowanych przed wyborami propozycji. Ani do tych, które środowisko NGO mozolnie przygotowało, ani do postulatów wyartykułowanych na konferencjach, takich jak „Mamy pomysły na Polskę”. Ba, nawet „Strategiczna Mapa Społeczeństwa Obywatelskiego” - dokument będący efektem wieloletniej pracy ekspertów i praktyków - została potraktowana jak nudna książka kupiona w księgarni, żeby ładnie wyglądała na półce. „Kiedyś przeczytamy”, „jeszcze będzie czas”. Oczywiście, że będzie. Tak samo jak zawsze jest czas, żeby wreszcie wyjąć pranie z pralki po trzech dniach - tylko kto by się tym przejmował.

OBYWATELSKOŚĆ JAKO DEKORACJA

Zamiast wdrażania realnych rozwiązań, rząd uznał, że wystarczy odrobina PR-u. Zorganizujemy „dzień NGO”, przetniemy wstęgę, zrobimy kilka selfie z działaczami, a potem wrócimy do „prawdziwej polityki”. Jakby podmiotowość obywatelska była laurką do pokazania na Facebooku, a nie fundamentem ustroju.

Władza potraktowała NGO-sy jak niegroźne dzieci na szkolnej akademii - można je postawić na scenie, dać im mikrofon, pozwolić zaśpiewać piosenkę o demokracji, a potem i tak dorosłych rozmów dokonuje się za kulisami. Tak wygląda relacja rządu z obywatelami, gdy idea partnerstwa zostaje zastąpiona przez wygodną, polityczną fasadę.

To wszystko tworzy obraz państwa, w którym obywatelskość staje się czymś na kształt sezonowej dekoracji - takiej, którą wyciąga się od święta, żeby wyglądało, że jest „kolorowo i nowocześnie”, a potem chowa się do magazynu, żeby nie przeszkadzała w codziennym, poważnym zarządzaniu.

POLITYCZNA KŁATWA CZY NARODOWY SPORT?

Ministerialny urząd ds. społeczeństwa obywatelskiego w Polsce ma mniej szczęścia niż reprezentacja w finale mundialu – trzy podejścia, trzy porażki. Pierwszy był Jerzy Buzek i prof. Zbigniew Woźniak (1998–1999) – socjolog z wizją, który po roku zderzył się z betonem partyjnych interesów i zrezygnował. Potem przyszedł era Piotra Glińskiego (2016) – pełnomocnikiem został Wojciech Kaczmarczyk, zaufany człowiek władzy, który ambitnie powołał zespoły eksperckie. Szybko jednak stanowisko przejął Adam Lipiński, a cała idea partnerstwa z NGO-sami została zredukowana do programu lojalnościowego: pieniądze za milczenie. Urząd zniknął niemal po cichu, jakby nigdy nie istniał.

Trzecią próbę podjęła Koalicja 15 października. Buczyńska i Porowska miały zbudować mosty między państwem a społeczeństwem. Wyszło jak zwykle: dzień społeczeństwa obywatelskiego, odznaka, program „Moc Małych Społeczności” – i zero systemowych zmian. Po półtora roku urząd znika z tej samej przyczyny, co wcześniej: był tylko atrapą, a atrapy się nie reformuje, tylko wynosi na zaplecze.

Czy to kłatwa? A może w tym urzędzie wisi niewidzialny napis: „Tu reformy nie przechodzą – prosimy o składanie obietnic w okienku obok”? A może to po prostu polska polityka: każde kolejne rządy, bez względu na kolor sztandaru, dochodzą w końcu do tego samego wniosku: „NGO-sy są cudowne, ale najlepiej działają wtedy, gdy są cicho i nie przeszkadzają.”

Władza nie znosi, gdy ktoś zagląda jej do kuchni. A NGO-sy mają w sobie ten wkurzający zwyczaj otwierania garnków i sprawdzania, co bulgocze w politycznym bigosie. „Partnerstwo” kończy się więc zwykle na wręczaniu statuetek podczas gali i kilku zdjęciach na Facebooku, a prawdziwe decyzje zapadają za zamkniętymi drzwiami – tam, gdzie obywatelom grzecznie dziękują się za udział, ale nie za głos.

RZECZYWISTE SKUTKI – CZYLI JAK SYMBOL ZMIENIA SIĘ W REALNĄ STRATĘ

Likwidacja ministerstwa nie jest tylko kosmetycznym gestem w stylu „zredukowaliśmy liczbę stołków”. To realne osłabienie pozycji społeczeństwa obywatelskiego w strukturze władzy. Minister – w przeciwieństwie do pełnomocnika – ma inicjatywę ustawodawczą, pełnoprawny udział w posiedzeniach Rady Ministrów i możliwość interwencji, kiedy na stole pojawia się projekt mogący wyrzucić do góry nogami działalność NGO-sów czy prawa obywatelskie. Minister jest przy stole, pełnomocnik co najwyżej dostaje później notatkę z posiedzenia, czasem skróconą do zdania: „Było dobrze, a teraz wracamy do pracy”.

Tego wszystkiego już nie będzie. I bardzo możliwe, że właśnie o to chodziło. Nie od dziś wiadomo, że władza ma skłonność do kontrolowania partnerów, a jeśli nie da się ich kontrolować – najlepiej odsunąć od decyzji. Bo po co słuchać kogoś, kto przypomina o niewygodnych wartościach, kto domaga się konsultacji i transparentności?

OD DEMOKRACJI DO „DEMOKRACJI LIGHT”

To, co się dzieje, jest groteskowe: rząd, który na sztandarach nosi hasło „walki o demokrację”, likwiduje instytucję mającą być demokratycznym bezpiecznikiem i kanałem komunikacji z obywatelami. To jak straż pożarna, która w imię nowoczesności rezygnuje z wozów strażackich, bo przecież „pożary są passe”.

W zamian sektor obywatelski ma dostać laurkę – odznakę, wpis do kalendarza Google, może jeszcze pamiątkowy długopis z logo rządu. To jest nowa definicja partnerstwa: „Nie pytajcie, nie kontrolujcie, ale za to dostaniecie ładny gadżet i obietnicę, że będziemy pamiętać o was przez jeden dzień w roku.”

CO TO OZNACZA W PRAKTYCE?

Brak ministerialnego głosu to brak realnego wpływu na proces legislacyjny. Wszelkie ustawy dotyczące organizacji pozarządowych, wolontariatu, dialogu społecznego czy praw obywatelskich będą teraz trafiały do rządu jak do maszyny do mięsa – bez wcześniejszego sita konsultacji, bez ostrzeżeń, bez eksperckiego filtra. A jeśli NGO-sy będą miały jakieś uwagi? No cóż, mogą napisać list, najlepiej do Świętego Mikołaja – szanse na odpowiedź są podobne.

CO DALEJ?

Pytanie nie brzmi dziś: „czy ministerstwo powinno zostać?”. Brzmi: czy rząd chce rzeczywistego partnerstwa z obywatelami? Bo jeśli tak, to musi zacząć od zmiany całej logiki działania:

- ustawowe standardy konsultacji;
- gwarancje udziału NGO w tworzeniu polityk;
- silna i niezależna Rada Pożytku Publicznego;
- systemowy udział sektora w procesie legislacyjnym;
- realna odpowiedzialność resortów za dialog obywatelski.

Bez tego nawet najpiękniej brzmiące „społeczeństwo obywatelskie” będzie tylko pustym hasłem w ustach polityków.

EPILOG BEZ HAPPY ENDU

Ministerstwo znika. Dialog znika. Przypomina to zaskakującą scenę, w której orkiestra została zaproszona do filharmonii, po czym zamknięto drzwi sali koncertowej.

Ale społeczeństwo obywatelskie nie zniknie. Nie da się go zredukować do funkcji przy ministerialnym biurku. Jego siła polega na tym, że wraca – nie dlatego, że władza mu pozwala, ale dlatego, że demokracja bez niego nie istnieje.



Urszula Markowska-Merecka

DWUKADENCYJNOŚĆ

Bo władza lokalna to nie dziedziczna
monarchia

Gdyby dziś istniał jeszcze „Kurier Warszawski”, ten przedwojenny, niepokorny, niepodległy duchem tygodnik mieszczańskiego rozsądku i obywatelskiej przezorności, to sprawie dwukadencyjności z pewnością poświęcono by cały numer. Nie jako ciekawostce ustrojowej, lecz jako sprawie wagi publicznej. W rubryce „Z rzeczy pierwszorzędnych” zapewne znalazłby się pełnokrwisty komentarz redakcyjny, poprzedzony rysunkiem przedstawiającym samorządowca na tronie z napisem „Kadencja VII”, z koroną z miejskiego budżetu i berłem z regulaminu Rady Miasta.

Pewnie brzmiałoby to mniej więcej tak:

„Oto znów przyszedł czas, by przypomnieć rządzącym, że urząd nie jest meblem – nie należy się dożywotnio. Że władza, choćby najsprawniej sprawowana, nie jest na własność. A i wyborcy, choćby najwierniejsi, powinni mieć możliwość odświeżenia powietrza w samorządowej sali posiedzeń. Nie po to, by burzyć – lecz by nie dopuścić do zapłesnienia”.

I zaraz dodano by – językiem nieco ironicznym, jak to w tamtych czasach:

„Bo nawet najlepszy prezydent, burmistrz czy wójt – jeśli zbyt długo trwa – zamienia się z gospodarza w ikonę. A z ikonami – jak wiadomo – się nie dyskutuje, tylko się je wiesza. Na ścianie”.

I właśnie dlatego, obywatele – mówiłby zapewne redaktor – niech ustawa o dwukadencyjności trwa. Bo jeśli pozwolimy, by raz po raz obchodzono ją pod pozorem „dobra wspólnego”, to pewnego dnia obudzimy się w miastach, które przypominają bardziej miniaturowe dwory niż demokratyczne wspólnoty.

Ale że „Kurier” już nie istnieje, a guwernantki to raczej relikty niż urząd, pora wrócić do rzeczywistości XXI wieku. Zakończyły się konsultacje społeczne w sprawie projektu ustawy, która zakłada zniesienie ograniczenia do dwóch

kadencji dla wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Projekt – pod numerem RPW/22565/2025 – promowany był hasłem „wolność wyboru”, co w polskiej debacie publicznej bywa równie elastyczne jak interpretacja hasła „dla dobra obywatela”.

REFORMA PRZEZ POMYŁKĘ

Dwukadencyjność wprowadzono w 2018 roku – i, co ciekawe, nie z troski o jakość demokracji lokalnej, lecz raczej z troski o to, by PSL przestał rządzić w Polsce powiatowej. Bo to właśnie wiejscy i małomiasteczkowi wójtowie – ci od remizy, asfaltu i „dzień dobry, panie radny” – przez lata skutecznie bronili się przed zalewem pisowskiej ofensywy. Więc postanowiono ich zablokować – systemowo. Nowelizacją. Kadencyjnością.

Zamysł był prosty: nie da się ich pokonać przy urnie? To przynajmniej skrócimy im czas gry.

Ale – jak to w polskim prawodawstwie bywa – czasem nawet najbardziej cyniczny projekt potrafi przynieść dobry efekt uboczny. Tak też było tu. Ograniczając włodarzom czas urzędowania, zupełnie przypadkiem uchwalono ustawę demokratyczną, sensowną i... no właśnie: sprawiedliwą.

Chociaż – co ciekawe – nikt nie zaproponował, by objąć nią także posłów i senatorów. Widocznie zdrowe ograniczenia są jak kontrole skarbowe – dobre, ale dla innych.

Mój dziadek mawiał: „ch..., ale jednakowo”. I to, proszę Państwa, byłby naprawdę sprawiedliwy model – dwie kadencje dla wszystkich. Zarówno dla wójta spod Kolbuszowej, jak i dla zawodowego parlamentarzysty z siedemnastoma kampaniami w CV i emeryturą sejmową w pakiecie. Ale, jak wiadomo, zasady mają sens tylko wtedy, gdy nie obowiązują tych, którzy je ustanawiają.

UKŁAD NIEPRZEMAKALNY

Dwukadencyjność to nie wyrok. To bezpiecznik demokracji. Chroni obywateli przed sytuacją, w której lokalna władza staje się zbyt „nasza”: zbyt wygodna, zbyt oswojona, zbyt znajoma, by można ją było zakwestionować bez towarzyskich konsekwencji.

Bo kiedy prezydent miasta, burmistrz czy wójt zna wszystkich, a wszyscy znają jego – zmiana bywa traktowana jak zdrada, a krytyka jak nietakt. Przecież „on był na pogrzebie dziadka i daje medale zasłużonego obywatela”.

Władza samorządowa – jak słusznie zauważył w swoim apelu Kongres Ruchów Miejskich – została w ostatnich latach wyposażona w coraz szersze uprawnienia. Kompetencje organów wykonawczych rosły, a mechanizmy kontroli – niestety – niekoniecznie szły za nimi. Efekt? System, w którym prezydent, burmistrz lub wójt nie tylko rządzi, ale często ustala również ton debaty, listę gości w miejskim teatrze i obsadę stanowisk w lokalnych instytucjach.

KRM nie owija w bawełnę: dwukadencyjność to bezpiecznik, który nie pozwala układom władzy zapuścić zbyt głębokich korzeni. To coś więcej niż ustrojowy dekor – to przeciwiało wobec samozadowolenia i powtarzalności, która z czasem zamienia się w obojętność.

A że nie promujemy w Polsce biernego prawa wyborczego? Że nie zachęcamy ludzi do kandydowania?

Cóż, trudno się dziwić – po co w ogóle próbować, skoro i tak wiadomo, kto wygra, bo „zna się z każdym, nawet z księdzem, a jak zbliżają się wybory, to da jeszcze nagrody pracownikom urzędu”.

Dwukadencyjność to nie wyrok. To godne wyjście. To sygnał, że władza to nie kariera – to czasowy kredyt zaufania, który ma swój termin spłaty. Dobry władarz powinien się z tego cie-

żyć. Bo może przygotować następcę, zostawić po sobie uporządkowane podwórko, a sam – z poparciem i doświadczeniem – pójść dalej. Do sejmi-ku. Do Sejmu. Do realnego wpływu na kraj.

Ale jeśli ktoś, po dziesięciu latach, nie wyobraża sobie życia bez tytułu i urzędowego kalendarza – to właśnie dlatego nie powinien pełnić tej funkcji dalej.

DEBATA? TAK. ALE NIE W STYLU: „ZDEJMIJMY OGRANICZENIA, BO PRZESZKADZAJĄ”.

Każda ustawa ma swoje wady. Dwukadencyjność również. Ale debata nad nią nie powinna zaczynać się od pytania: „jak znieść?”, tylko od pytania: „dlaczego była potrzebna?”.

Bo jeśli naszym remedium na kiepską partycypację ma być przedłużenie obecnych układów w nieskończoność – to my już nie reformujemy systemu. My go konserwujemy. W formalinie samozadowolenia.

Dlatego zamiast znosić ograniczenia – lepiej je uzupełniać: wzmocnić rady, zwiększyć przejrzystość decyzji, zakazać skoków byłych włodarzy na stolki w spółkach miejskich. I przede wszystkim: zacząć traktować obywatela nie jak widza, ale jak współtwórcę.

Bo demokracja, jeśli ma być żywa, musi oddychać zmianą. Musi mieć zdolność odnawiania tkanki społecznej, nie tylko odświeżania elewacji.

A to oznacza również zmianę ludzi – tych, którzy decydują, i tych, którzy mają odwagę chcieć decydować. Nawet jeśli oznacza to, że ktoś będzie musiał oddać klucze do gabinetu, zanim zdąży go sobie urządzić na wieczność.

GDYBY ISTNIAŁ JESZCZE „KURIER WARSZAWSKI”...

I może właśnie taki tekst – z przymrużeniem oka, ale całkiem serio – ukazałby się dziś w nieistniejącym „Kurierze Warszawskim”. Może nawet na pierwszej stronie, obok analizy cen cukru, horoskopu dla ludzi czynu i prognozy pogody dla województw.

W rubryce „Z głosu obywatelskiego” znalazłaby się zapewne dopisana odręcznie notka:

„Jeśli ktoś z Państwa zna przykład prezydenta miasta, który sam, z własnej woli, po dwóch kadencjach zrezygnował – prosimy o kontakt. Przewidujemy nagrodę książkową i miejsce w pantheonie nadzwyczajnych wyjątków.”

Na końcu – pod wytłuszczonym cytatem – drobnym drukiem redakcja przypomniałaby jeszcze, że niektóre rzeczy, choć niewygodne, służą wspólnemu dobru. Jak obostrzenia w ruchu drogowym. Jak kontrole sanepidu. Jak limit kadencji.

I zamknęłaby felieton takimi słowami: „Władza lokalna, jak każda inna, powinna wiedzieć, kiedy wstać od stołu. Nawet jeśli obiad był smaczny, a goście klaszczą. Bo prawdziwa dojrzałość nie polega na tym, by trwać, lecz na tym, by odejść, zanim zaczniesz się przeszkadzać.”

Kadencyjność to higiena. I to nie tylko w samorządach – ale w każdej instytucji, która działa w imieniu wspólnoty: w szkole, w kulturze, w organizacji społecznej. Bo żadna struktura nie służy dobrze, jeśli staje się personalnym folwarkiem.

Michała Tramera, odchodzącego po dwóch kadencjach z dyrektorskiego fotela w Teatrze Lalki „Tęcza”, zapytał kiedyś znajomy:

– Dlaczego rezygnujesz? Przecież teatr jest dziś w świetnej formie.

Tramer odpowiedział krótko:

– Właśnie dlatego.

I tego właśnie – z całym obywatelskim szacunkiem – życzymy wszystkim, którzy zbyt długo siedzą przy swoich stołach. Nawet jeśli są przykręceni do podłogi.

Marianna Halcarz



Lęk, który karmi dezinformację.

O TYM CZYM NAPRAWDĘ SĄ CENTRA INTEGRACJI CUDZOZIEMCÓW

OBALAMY MITY – KROK PO KROKU

Niektóre miejsca rodzą więcej pytań niż odpowiedzi - zwłaszcza gdy dotyczą tego, czego się boimy. Centrum Integracji Cudzoziemców w Słupsku stało się jednym z takich punktów zapalnych. Wokół jego działalności narosło tyle mitów, niedopowiedzeń i fałszywych skojarzeń, że trudno już odróżnić, co jest rzeczywistością, a co zbiorowym wyobrażeniem.

A przecież to miejsce nie ma nic wspólnego z medialną paniką. To instytucja, która nie dzieli - lecz tłumaczy. Nie destabilizuje - tylko porządkuje. I przede wszystkim: nie zaprasza chaosu, lecz odpowiada na potrzeby tych, którzy są już tu, obok nas. Legalnie. Ludzi, których łatwo osądzić - trudniej zrozumieć.

Wystarczyło kilka nieścisłości, półprawd i emocjonalnych chwytów, by wokół nowo powstałego Centrum Integracji Cudzoziemców (CIC) w Słupsku narósł klimat nieufności. W sieci zaczęły krążyć fałszywe informacje, podsycane retoryką o „placówce dla uchodźców” i „zwożeniu migrantów z całego świata na koszt mieszkańców”. Pojawiły się petycje, protesty, a w przestrzeni publicznej rozgościła się narracja budowana nie na faktach, lecz na lęku - przed Innym, obcym, nieoswojonym.

Tymczasem Centrum nie jest ani ośrodkiem, ani placówką w rozumieniu, jaki sugerują publiczne lęki. Nie zapewnia noclegów, nie prowadzi zbiorowego zakwaterowania, nie sprowadza nikogo do miasta. Nie działa „dla migrantów” - działa z migrantami, którzy już tu są.

I którzy - co trzeba wyraźnie podkreślić - przebywają w Polsce legalnie.

W całej tej debacie mniej chodzi o samo CIC, a bardziej o nas. O jakość naszego rozumienia instytucji publicznych, o społeczną wyobraźnię, o umiejętność odróżnienia obiektywnej informacji od manipulacji. W końcu - o gotowość do przyjęcia inności nie jako zagrożenia, lecz jako wyzwania i szansy.

NIE „PLACÓWKA”, NIE „OŚRODEK”

Centrum Integracji Cudzoziemców - nazwijmy je precyzyjnie - to instytucja wsparcia społecznego, edukacyjnego i integracyjnego, działająca w siedzibie Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego. W Słupsku funkcjonuje od 2 czerwca 2025 roku i mieści się przy ul. Jana Pawła II 1. Z jego pomocy mogą korzystać wyłącznie migranci, którzy legalnie przebywają w Polsce. Nie oferuje noclegu. Nie jest punktem zbiorowego pobytu.

Centrum funkcjonuje w konkretnych godzinach i dniach, a jego aktywności mają charakter ekspercki, dopasowany do potrzeb cudzoziemców - od kursów języka polskiego po porady prawne i wsparcie psychologiczne dla dzieci. W tle działa dobrze znana koncepcja „One-Stop-Shop” - jedno miejsce, wiele usług, zintegrowane wsparcie.

Liderem tego projektu jest Województwo Pomorskie - Kancelaria Marszałka Województwa, a partnerami:

Pomorski Urząd Wojewódzki, stowarzyszenia - PORT, OVUM i CWIL.

To model znany z wielu krajów Unii Europejskiej, wdrażany również wcześniej w Polsce - choćby w Wielkopolsce czy na Opolszczyźnie, w ramach programu zapoczątkowanego jeszcze przez Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej w latach 2017-2020. CIC w Gdańsku i Słupsku to kontynuacja tej polityki - nie ideologiczna fanaberia, lecz pragmatyczna odpowiedź na konkretne potrzeby migracyjne.

UNIJNE PIENIĄDZE, LOKALNE EFEKTY

Koszt uruchomienia dwóch pomorskich Centrów wynosi ponad 30 mln zł, za te pieniądze instytucje te powinny działać do roku 2029. Brzmi dużo? Warto dodać, że 90% tej kwoty pochodzi z Funduszu Azylu, Migracji i Integracji - środków europejskich, których celem jest wspieranie legalnych migrantów w adaptacji do życia w krajach członkowskich.

Tylko 10% to wkład własny Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego. Nie są to pieniądze „z kieszeni mieszkańców”.

Projekt realizowany jest w partnerstwie z organizacjami pozarządowymi o ugruntowanej pozycji i doświadczeniu: Centrum Wsparcia Imigrantów i Imigrantek w Gdańsku, Stowarzyszeniem OVUM i Stowarzyszeniem Port Przestrzeni Otwarta. To nie pierwsze i nie przypadkowe partnerstwa - to efekt wieloletniej pracy na styku polityki migracyjnej i integracji społecznej.

W ciągu pięciu lat zaplanowano objęcie wsparciem ponad 5000 osób. To nie masowa imigracja. To realna skala wyzwań, z jakimi mierzy się każdy średniej wielkości region Unii Europejskiej.

CO NAPRAWDĘ OFERUJE CIC?

Pomoc udzielana w Centrum nie ma charakteru socjalnego - to nie system zasiłków, lecz system orientacji. Migranci otrzymują:

- pomoc w składaniu wniosków pobytowych,
- wsparcie prawne i psychologiczne (w Słupsku tylko dla dzieci),
- kursy języka polskiego (poziomy A1/A2),
- spotkania informacyjne i integracyjne
- wielokulturowe warsztaty dla mieszkańców,
- szkolenia międzykulturowe dla pracowników administracji i oświaty.

To nie tylko pomoc dla migrantów - to także inwestycja w lokalne instytucje i wspólnoty, które mają dzięki temu lepiej rozumieć, z kim pracują, kogo uczą, kogo obsługują. To także wsparcie dla nauczycieli, urzędników i mieszkańców - w poruszaniu się po coraz bardziej zróżnicowanej rzeczywistości.

STRACH BYWA ZARAŻLIWY.

ALE WIEDZA TEŻ.

Fala dezinformacji wokół CIC pokazuje, jak łatwo racjonalne działania mogą zostać wypaczone przez emocjonalną narrację. I jak łatwo społeczne lęki przekształcić w polityczny kapitał. W takich chwilach szczególnie istotna staje się rola mediów, urzędów, szkół - by zamiast milczeć lub się tłumaczyć, wyjaśniać. Mówić językiem faktów i doświadczeń, a nie pogłosek i uprzedzeń.

Centrum Integracji Cudzoziemców w Słupsku nie zagraża lokalnej społeczności. Wręcz przeciwnie - stanowi narzędzie, dzięki któremu to społeczeństwo może być bardziej świadome, spójne i odporne na szkodliwe uproszczenia.

Nie chodzi o entuzjastyczne powitania. Chodzi o uczciwość. O dostrzeżenie, że ci, którzy dziś potrzebują wsparcia w urzędzie, być może jutro będą naszymi współpracownikami, sąsiadami, współobywatelami. A to, jak wyglądać będzie ta przyszłość, zależy w dużej mierze od tego, czy dziś potrafimy odpowiedzieć na wyzwania - z głową, a nie z krzykiem.

Co jednak dokładnie robi CIC i jakie są jego długofalowe cele? Jak wygląda współpraca z mieszkańcami i lokalnymi instytucjami, a także jak władze województwa chcą walczyć z dezinformacją?

O tym rozmawiamy z Michałem Piotrowskim, rzecznikiem Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego:

Centra Integracji Cudzoziemców powstały jako element spójnej polityki migracyjnej i integracyjnej. Jakie cele długoterminowe przyświecają realizacji tego projektu w województwie pomorskim - zarówno w Gdańsku, jak i w Słupsku?

Centra Integracji Cudzoziemców powstały w ramach projektu „Pomorskie WELCOME Center”, finansowanego z Funduszu Azylu, Migracji i Integracji na lata 2021-2027. W województwie pomorskim otworzyliśmy dwa takie miejsca - w Gdańsku i w Słupsku - ale projekt działa w całym kraju.

Naszą ideą jest to, by każdy, kto przyjeżdża do Polski i zaczyna tu nowe życie, mógł liczyć na pomoc, zrozumienie i równe szanse. Chcemy ułatwić cudzoziemcom integrację ze społecznością, tak aby poczuli się częścią wspólnego domu - naszego regionu i naszej codzienności.

W przestrzeni publicznej narasta dezinformacja, która często sprowadza działalność CIC do fałszywych skojarzeń z „ośrodkami dla uchodźców”.

Jak Województwo Pomorskie, jako jeden z organizatorów CIC, zamierza komunikować mieszkańcom prawdziwe cele i zasady działania Centrum, aby rozwiązać te wątpliwości?

Zdajemy sobie sprawę, że wokół tematu migracji pojawia się wiele mitów i nieporozumień, dlatego reagujemy natychmiast - odpowiadamy na każde pytanie dotyczące „Pomorskie WELCOME Center”, żeby rozwiązać wątpliwości i pokazać fakty.

Na starcie projektu spotkaliśmy się z władzami samorządowymi, organizacjami pozarządowymi i lokalnymi działaczami, by wyjaśnić, czym naprawdę są CIC i jak pomagają.

Prowadzimy także profil na Facebooku: <https://www.facebook.com/pomorskiwelcomel/>, gdzie publikujemy rzetelne, sprawdzone informacje. Planujemy też kampanie informacyjne - np. w radiu - oraz otwarte spotkania

o różnych aspektach życia w Polsce, skierowane zarówno do cudzoziemców, jak i Polaków.

Chcemy, by te działania uczyły otwartości, przełamywały lęk przed „obcym” i budowały zrozumienie. Wierzymy, że to pomoże zmniejszyć falę hejtu, która dotyka migrantów i same Centra.

Czy już na etapie planowania powstania CIC analizowano nastroje społeczne? Jak władze województwa reagują na protesty i niechęć części mieszkańców - czy prowadzony jest dialog, spotkania informacyjne lub kampanie edukacyjne w tym zakresie?

Od początku wiemy, jak ważna jest szczerść i otwartość wobec mieszkańców. Dlatego stawiamy na transparentną komunikację - przekazujemy jasne, sprawdzone informacje

o założeniach projektu i odpowiadamy na pytania.

W kolejnych etapach planujemy szerokie działania edukacyjne, otwarte spotkania i kampanie informacyjne. To dla nas kluczowe, by rozmawiać z mieszkańcami i wspólnie budować atmosferę zaufania.

Jak oceniają Państwo rolę organizacji pozarządowych - Centrum Wsparcia Imigrantów i Imigrantek, Stowarzyszenia OVUM i Port Przestrzeń Otwarta - w realizacji zadań CIC? Czy wnoszą do projektu wiedzę i praktykę pracy w terenie?

Bez naszych partnerów społecznych ten projekt nie miałby takiej mocy. Organizacje pozarządowe - Centrum Wsparcia Imigrantów i Imigrantek, Stowarzyszenie OVUM i Port. Przestrzeń Otwarta - mają ogromne doświadczenie w pracy z migrantami



Piknik Wielokulturowy

i doskonale wiedzą, jakie problemy trzeba rozwiązywać w pierwszej kolejności. Ich wiedza i praktyka to podstawa skutecznej pomocy, dlatego pełnią tu kluczową rolę.

Czy działania CIC mają na celu również wspieranie lokalnych instytucji - szkół, szpitali, urzędów - w pracy z migrantami? Jakie efekty współpracy widzą Państwo w dłuższej perspektywie?

Tak, chcemy, żeby lokalne instytucje - szkoły, urzędy, placówki oświatowe - były przygotowane do współpracy z migrantami.

Od 2026 roku planujemy specjalne szkolenia, które pomogą pracownikom lepiej zrozumieć różnice kulturowe i skutecznie wspierać nowe osoby w społeczności.

Zależy nam na stworzeniu systemu, w którym wszystkie instytucje działają wspólnie i mówią jednym głosem. To inwestycja w przyszłość - w otwartość, skuteczność i wzajemny szacunek.

W ciągu pięciu lat działalności CIC ma objąć wsparciem ponad 5000 osób. Jak będzie monitorowana skuteczność działań Centrum i efekty integracji migrantów z lokalnymi społecznościami?

Chcemy wiedzieć, czy nasze działania naprawdę pomagają - dlatego monitorujemy je na bieżąco.

Każda osoba korzystająca ze wsparcia jest proszona o wypełnienie ankiety, która pokazuje zarówno poziom zadowolenia, jak i to, jak pomoc wpłynęła na proces integracji. To daje nam pełny obraz skuteczności i pozwala udoskonalać nasze działania.

Polska nie ma długiej tradycji nowoczesnej polityki integracyjnej. Czy CIC można traktować jako laboratorium dobrych praktyk, które mogą w przyszłości stać się wzorem dla innych miast i regionów?

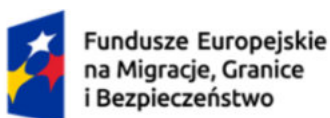
CIC nie są już eksperymentem - to sprawdzony model działania, który przeszedł testy w Polsce i poza jej granicami. Zaczynaliśmy od pilotażowych projektów w wybranych miastach, a dziś Centra działają w wielu województwach.

To dowód, że ich rola jest systemowa. Mogą być świetnym wzorem dla innych regionów, które chcą mądrze i skutecznie wspierać osoby z doświadczeniem migracyjnym.

Na koniec - w obliczu polaryzacji społecznej i fali antyimigranckich nastrojów - jak Województwo Pomorskie definiuje swoją rolę? Czy widzą Państwo w działaniach CIC nie tylko projekt administracyjny, ale również misję społeczną - próbę odbudowy zaufania, dialogu i szacunku dla różnorodności?

To dla nas nie tylko projekt - to misja. Administracja jest narzędziem, ale cel jest głębszy: budowanie zaufania, otwartości i szacunku. Wielopłaszczyznowa integracja migrantów jest wpisana w Strategię Rozwoju Województwa Pomorskiego 2030.

Chcemy, by nasze działania pokazywały, że różnorodność to wartość, a nie zagrożenie. To droga do społeczeństwa, w którym każdy - niezależnie od pochodzenia - może czuć się u siebie.



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską





Potwór Frankenstein

jako prototypowa figura „obcego”

Tak ciężkiego powietrza w kraju nie było dawno. Zagrożenie wojną, zagrożenie nie/legalnymi migrantami, zagrożenie terroryzmem, indywidualne i zbiorowe akty przemocy, cyberkłamstwa, kampanie hejtu, marsze nienawiści, niekończące się polityczne spory i oskarżenia. Zewsząd słychać, że nasze bezpieczeństwo jest najważniejsze. Że trzeba się zbroić. Że trzeba zamknąć granice. Skąd ten fanatyzm, ksenofobia, nakręcająca się spirala wrogości, nieufności?

Potwora Frankenstein nikomu przedstawiać nie trzeba – natychmiast mamy przed oczyma postać graną przez Borisa Karloffa, który w filmie w reżyserii Jamesa Whale'a (*Frankenstein*, Universal Studios, 1931) stworzył jeden z najbardziej ikonicznych wizerunków w historii kina grozy. Pierwowzorem literackim była powieść Mary

Shelley *Frankenstein albo: Współczesny Prometeusz* (1818). Kreacja filmowa (jak i sama powieść) niesie za sobą głębsze pytanie o tożsamość, inność, obcość i sposoby kulturowego kodowania obcości. Najprościej rzecz ujmując, „obcy” to ktoś spoza wspólnoty. Obcość ma charakter zbiorowy, zewnętrzny i przeciwstawny do „my”, z kolei „inność” ma charakter indywidualny i odnosi się do jednostki wyróżniającej się jakąś cechą. „Inny”, choć zwykle gorszy, bo odbiegający od normy, jest jednak „swój”, należy do danej wspólnoty. Trzeba dodać, że nie każdy „obcy” jest „inny”, ale „obcość” i „inność” mogą też iść w parze.

Centralną koncepcją w podziale „swój” – „obcy” jest kategoryzacja. Antropolog Edmund Leach w latach 60. XX wieku wyraził pogląd, że kategorie nie istnieją obiektywnie, lecz zostały nam narzucone w procesie uczenia się.

W tym wypadku chodzi o kategoryzowanie ludzi, które niesie ze sobą potencjalnie groźne w skutkach implikacje społeczne. Eleonor Rosch w latach 70. XX wieku zaproponowała teorię kategoryzacji, która była alternatywna wobec klasycznej teorii kategoryzacji, wywodzącej się od Arystotelesa.

Według podstawowych założeń teorii klasycznej kategorii mają wyraźne granice oraz wszystkie elementy danej kategorii są równorzędne. Teoria prototypów Rosch głosiła, że nasze kategorie pojęciowe nie mają ostrych granic, lecz opierają się na centralnych przykładach – prototypach. Innymi słowy, ludzie organizują pojęcia wokół najbardziej typowych przedstawicieli danej kategorii, a przynależność do danej kategorii wynika ze stopnia podobieństwa do prototypu. W kontekście kulturowym Zachodu prototypem „człowieka” jest jednostka biała, zdrowa, heteronormatywna, znająca i dzieląca wartości dominującej kultury (związane z patriarchalnym postrzeganiem rzeczywistości).

Postać potwora Frankenstein jest wyraźnie wypchnięta poza ten prototyp. Złożony z fragmentów ludzkich ciał, pozbawiony przeszłości i rodziny, językowo i społecznie nieprzystosowany „stwór” Mary Shelley nie spełnia żadnych kryteriów prototypowego człowieczeństwa. Gwoli ścisłości – potwór, jako istota wykluczona z łańcucha bytów, jest bezimienny, ponieważ nadanie mu imienia oznaczałoby nadanie mu pewnej tożsamości oraz miejsca w sieci relacji społecznych, a tego zarówno jego stwórca, jak i społeczność, z którą próbował się zintegrować, mu odmówili. Frankenstein to nazwisko jego stwórcy, Wiktora Frenkensteina, z którym utożsamiono potwora, gdy zaczął żyć jako ikona popkultury i mit.

Tak gwałtowne przerażenie, jakie potwór wywołuje, wynika m.in. z faktu nieklasyfikowalności, przed którym stawia on ludzi. Jednak, jak stwierdza Jean-Jacques Lecercle, rodziną potwora jest m.in. legendarny Żyd Wieczny Tułacz (Lecercle 2022: 31) – tak jak on, potwór jest istotą skazaną na tułaczkę, pozbawioną wspólnoty, przynależności i miejsca w świecie.

George Lakoff i Mark Johnson w pracy *Metafory w naszym życiu* (2020) wskazali, że nasze myślenie operuje metaforami, które organizują nasze poznanie. Są one głównie sprawą myśli i działania, a dopiero wtórnie języka. W tym ujęciu „obcy” często jest przedstawiany jako zagrożenie poprzez następujące obrazy:

- siła niszcząca („fale migrantów”, „zalew obcych kultur”);
- wirus/pasożyt („ciało narodowe zainfekowane przez obcych”);
- potwór, coś nieludzkiego (wampir, zombie, kosmita);

- dzikus („prymitywne plemiona”, „nieokrzesa kultura”).

Zarówno w powieści, jak i w filmie Jamesa Whale’a metafora potwora jako obcego, który budzi zagrożenie, jest bardzo wyraźna. Potwór staje się ekranem, na który projekcja lęków jest rzutowana – w tym lęków o tożsamość narodową, rasową czy religijną. W pamięci pozostaje filmowa scena linczu, która jest jednym z najbardziej dramatycznych momentów filmu.

Po tragicznym utopieniu dziewczynki przez potwora (który nie rozumiał konsekwencji swoich czynów) przeżeni i rozwścieczeni mieszkańcy zbierają się, by wymierzyć sprawiedliwość. Uformowana zostaje uzbrojona tłuszcza, ludzie z pochodniami i widłami ruszają w las, by schwycić potwora. Scena obrazuje strach i agresję tłumu oraz symbolizuje odrzucenie tego, co obce i niezrozumiałe. Porównuje się ją często do żydowskich pogromów i traktuje jako proroczą zapowiedź Holocaustu.

Jak pisał René Girard w pracy zatytułowanej *Kozioł ofiarny*, „[p]o przekroczeniu pewnego progu nienawiść zapomina o swojej przyczynie. Nie jest jej potrzebna ani przyczyna, ani nawet pretekst, pozostają tylko krzyżujące się i nawzajem wspierające pożądlivości” (Girard 1991: 213), które jak w transie prowadzą ludzi do kolektywnego mordu na wytypowanej jednostce.

Wrogość wobec potwora i odrzucenie go obraca się przeciw stwórcy i społeczności – potwór nie był zły od momentu stworzenia, lecz stał się mordercą w akcie rozpaczy.

To przestroga także dla współczesnych społeczeństw. Według Lakoffa i Johnsona metafora – jeden z podstawowych mechanizmów, za pomocą którego jesteśmy w stanie rozumieć nasze doświadczenia – „może tworzyć nowe znaczenia, a także podobieństwa, i w ten sposób definiować nową rzeczywistość” (Lakoff, Johnson 2020: 340), co jest szczególnie istotne w kontekście konstruowania figury „obcego”.

Wzajemnie rozumienie staje się wyzwaniem, gdy spotykają się ze sobą ludzie reprezentujący różne kultury, systemy wartości, wiedzę i wzorce zachowań. Porozumienie jest jednak możliwe, a kluczową umiejętnością w tym kontekście jest wyobrażnia metaforyczna, która „polega w dużej mierze na zdolności naginania własnego spojrzenia na świat i korygowania sposobu, w jaki kategoryzuje się swoje doświadczenia” (Lakoff, Johnson 2020: 368).

Każdorazowo spotykając „obcego”, powinniśmy zdawać sobie sprawę, że „sposób, w jaki nauczono nas postrzegać świat, nie jest jedynym sposobem i że można widzieć także coś poza »prawdami« własnej kultury” (Lakoff, Johnson 2020: 377).

Idzie zatem o uświadomienie sobie, że choć istnieje świat rzeczywisty, to nie istnieje prawda absolutna na którą „my” mamy monopol. To dlatego „obcość” może mieć wielką wartość rozwojową, poznawczą, kulturotwórczą, otwierać nasze oczy i umysły, poszerzać nasze pojmowanie świata, a poprzez to zwiększać naszą samoświadomość. René Girard w *Koźle ofiarnym* zauważył, że żaden system nie jest w stanie pojąć myśli, która jest zdolna go uniceścić. To dzięki obcemu, jak w lustrze, jesteśmy w stanie dostrzec zagrożenia i patologie tkwiące w naszym własnym systemie społecznym.

Zarówno teoria prototypów Rosch, jak i teoria metafor Lakoffa-Johnsona, pomagają uchwycić, w jaki sposób nasz umysł wytwarza i utrzuca stereotypy kulturowe. Los potwora jest opowieścią o tym, jak społeczeństwo może marginalizować i dehumanizować tych, którzy są postrzegani jako obcy i inni. Jak pisała Ludmiła Dziewięcka-Bokun, „[o]bcość może się narodzić wszędzie i właściwie każdy może nagle zacząć jej podlegać” (2010: 381).

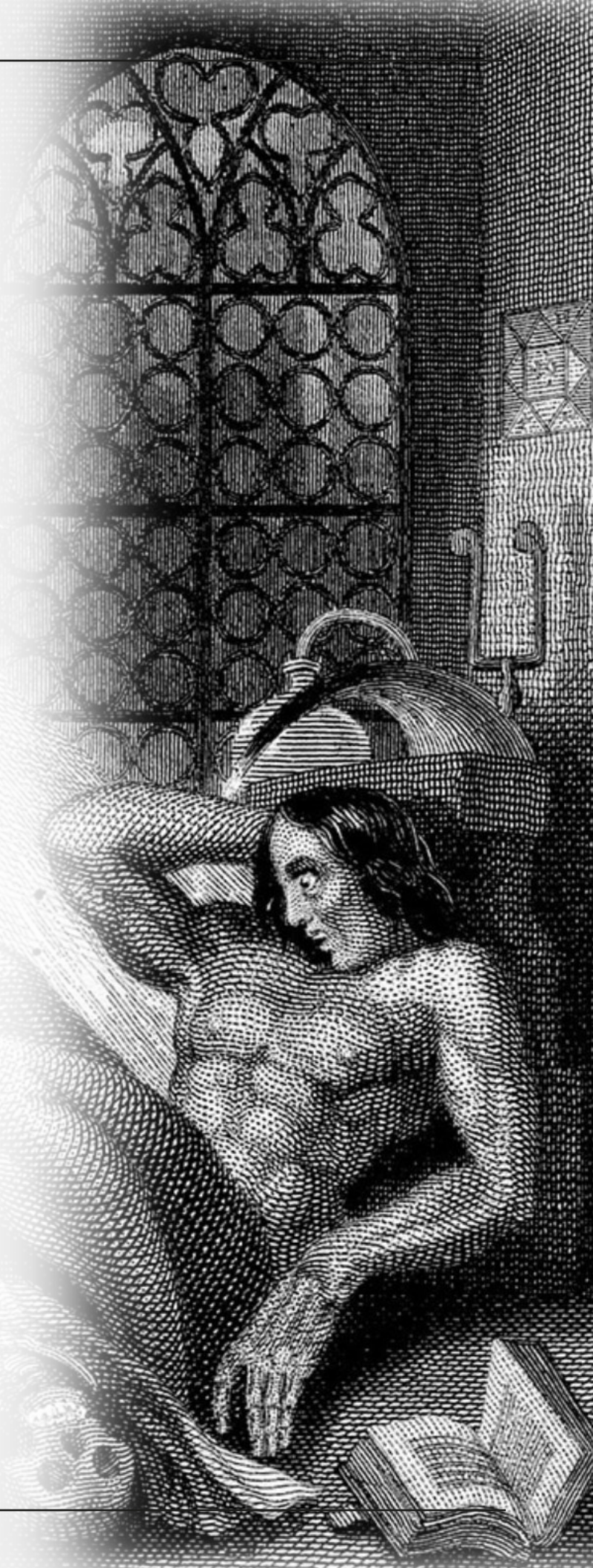
W tym sensie potwór Frankenstein może być Arabem, Żydem, migrantem, homoseksualistą czy każdym, kto znajduje się poza granicą kulturowego „my” i któremu społeczeństwo odmawia miejsca w ramach prototypu „człowieczeństwa”. Jest jakiś paradoks we współczesnym świecie, że z jednej strony kompulsywnie szukamy odmienności poprzez najdalsze, egzotyczne podróże, fascynujemy się wszystkim, co oryginalne, jedyne w swoim rodzaju, wyjątkowe, a z drugiej strony ludzka odmienność/„nie-normalność” nadal jest dla nas przerażająca.

Oswajanie „obcego” i budowanie wspólnoty w oparciu o inkluzję społeczną (a nie ekskluzję – bólczkę współczesności w obliczu rosnących nierówności ekonomicznych i szans życiowych) powinno być naszym wspólnym celem jako społeczeństwa w odpowiedzi na coraz liczniejsze próby destabilizacji i stwarzania poczucia zagrożenia.

Anna Majewska

Bibliografia

- Dziewięcka-Bokun, L. (2010). «Inny» poza systemem społecznym, czyli o przyczynach ekskluzji społecznej. W: Red. L., Dziewięcka-Bokun, A., Śledzińska-Simon. Społeczeństwo wobec «Innego»: kategoria «Innego» w naukach społecznych i życiu publicznym. Toruń.
- Girard, R. (1991). *Koźło ofiarny*. Przeł. M. Goszczyńska. Łódź.
- Kleiber, G. (2003). *Semantyka prototypu: kategorie i znaczenie leksykalne*. Kraków.
- Lakoff, G., Johnson, M. (2020). *Metafory w naszym życiu*. Warszawa.
- Lecercle, J.-J. (2022). *Frankenstein: mit i filozofia*. Warszawa.
- Środa, M. (2020). *Obcy, inny, wykluczony*. Gdańsk.
- Taylor, J. R. (2001). *Kategoryzacja w języku: prototypy w teorii językoznawczej*. Kraków.



WÓJT GMINY REDZIKOWO BARBARA DYKIER ORAZ STAROSTA SŁUPSKI PAWEŁ LISOWSKI ZAPRASZAJĄ NA

POWIATOWO-GMINNE

ŚWIĘTO PŁOŃ W SWOŁOWIE



6 WRZESNIA 2025



Gmina
Redzikowo



POWIAT
SŁUPSKI



CENTRUM KULTURY
I BIBLIOTEKA PUBLICZNA
GMINY REDZIKOWO



CENTRUM
KULTURY
POWIATU
SŁUPSKIEGO



PKS
SŁUPSK



Muzeum
Kultury Ludowej Pomorza
w Swołowie

Ewa Bielska

Krzysztof Kuczyński



Warszawa, listopad 2015 r.

Odebrałam telefon od męża: - Wyobraź sobie, co za historia! - mówił podekscytowany. - Siedzieliśmy dzisiaj z mecenasem Kuczyńskim, starszym kolegą adwokatem, w korytarzu Sądu Okręgowego przy Solidarności.

Czekaliśmy na rozprawę. Mecenas skarżył się, że stan jego zdrowia nie bardzo mu już pozwala na dojazdy z podwarszawskiego Milanówka, gdzie mieszka.

Odpowiedziałem, że mam ogromny sentyment do Milanówka, gdzie spędziłem dzieciństwo. A on, że też ma takie miejsce - jest nim Słupsk, do którego sprowadził się z rodzicami tuż po zakończeniu wojny.

Na to ja, że twoja rodzina też była w Słupsku w tym czasie i babcia prowadziła wypożyczalnię książek.

- Pani Kossowa?! - zapytał mec. Kuczyński.

Emilia Kossowa to mama mojego ojca. Moja babcia.

Wkrótce potem, w przedświątecznej atmosferze domu w Milanówku, spotkałam się z mecenasem Krzysztofem Kuczyńskim. Wspomnienie miasta jego młodości sprawiało mu wyraźną przyjemność...

Do Słupska przyjechaliśmy z Mazowsza. Zaraz pierwszy września 1939 r. Wyszaków został zbombardowany. Bomba trafiła w nasz dom.

Uciekliśmy na wschód. Chcieliśmy się dostać do majątku rodziny mojej mamy w Wołkowysku. Nie dotarliśmy tam, bo bolszewik już wlaź i nas zatrzymał. Po tułaczce, pobycie w majątku wuja nad Pilicą, który zajęli Niemcy, wróciliśmy do Wyszkowa.

Mama zaczęła działać w Służbie Zwycięstwu Polsce... Po różnych wojennych przypadkach, kiedy znajdowaliśmy się we wsi kurpiowskiej Wypych, rodzina - AKowcy...

To nie o mnie ma być, więc nie będę się tu rozwijał. W każdym razie dzień po zajęciu terenu przez bolszewików 12 km od Wyszkowa przybiegł pan Daniec. Uciekł przed aresztowaniem przez NKWD. UB szalało.

Mała miejscowość, ludzi się znało, łatwo było do nich dotrzeć.

W 1945 r., w lutym lub w marcu, ojciec pojechał na Ziemie Odzyskane szukać dla nas miejsca. Tak jeżdżąc, bez większego planu, trafił do Słupska. Bardzo mu przypadł do gustu, chociaż całe centrum ze średniowieczną zabudową zostało spalone.

Stacjonowało tam sowieckie wojsko. Chlali na umór. Niemieckich służb przeciwpożarowych już nie było, a nowych jeszcze nie było, więc najmniejszy pożar, jak się zaczął, to przemieniał się w ogromny - nie było komu gasić.

Ruscy mówili, że to Niemcy, a Niemcy - że Ruscy. Spaliło się siedem ósmych śródmieścia.



Zamieszkaliśmy tam i wkrótce było tak w tym Słupsku, że życie zostało znakomicie zorganizowane. Mama była kierowniczką szkoły podstawowej.

Nauczycielką z powołania. Komendantką harcerskiej chorągwi. Było tu wyjątkowe nasycenie ciekawymi, aktywnymi ludźmi. Część była ze wschodu, gdzie bolszewik zajęli pół Polski. Ale większość to przybysze ze wszystkich stron Polski. Bardzo szybko się zintegrowali, korzystając z własnych, najczęściej bardzo wysokich, kwalifikacji.

Wspaniałe środowisko lekarskie. Po wojnie ludzie odreagowywali. Tętniło życie; było wszystko: sklepy prywatne, masarnie z różnych regionów, specjalności, przysmaki. Litewskie, jakie się chciało... W Słupsku, do czasu rozkwitu komuny, było więcej restauracji niż w Warszawie.

I wszędzie tam chodziłem... Jak się wychodziło z dworca, na którym zresztą też był bufet z wyszynkiem, na prawo był hotel i restauracja „Grand Hotel”. Parę kroków dalej była „Restauracja Inwalidów”.

To wszystko przed wygraniem przez komunistów „bity o handel”. Kawalek dalej po tej samej stronie, duża, dwukondygnacyjna kawiarnia „Warszawianka”

Dalej była restauracja Nijakowskiego - mówiło się „U Nijakosia”. Słynął z zakąsek. Zwłaszcza minóg w sosie gorczycowym (musztardowym).

Minogi to prąryby żywiące się wyłącznie krwią ryb. 16 zł za kilogram. Bardzo popularna zakąska znajdująca się na ladzie w małych beczułkach oplecionych łykiem

Minogi nie znoszą żadnych zanieczyszczeń, tylko czystą wodę. Dlatego ich teraz nie ma. Następnie restauracja „Kolosium”, a potem „Hotel i restauracja Franciszków”.

Następnie restauracja o niezbyt wyszukanej nazwie „Centralna”. Potem „Lwowskie Piekiełko”. Towarzysze znieść nie mogli tej nazwy i w 51 r. została zamieniona na „Metro”. „Gospoda Włóczęgów”. Właściciel miał 3 córki, które często bawiły się z gośćmi, tańcząc - na przykład - na stołach.

Potem „Słupianka”, którą prowadziła pani Kwieczkowska. Jej syn Zbyszek był moim przyjacielem. Był 13-letnim kawalerem Orderu Virtuti Militari V klasy - w czasie powstania warszawskiego zniszczył czołg niemiecki. Później był szyprem kutra w Uście.

Nie wiem, czy żyje... Była jeszcze taka duża restauracja, nie mogę sobie przypomnieć jej nazwy, bo ja bardziej pamiętam córkę właścicielki, w której gustowałem... Z wzajemnością.

Zaraz sobie przypomnę. Taka typowa nazwa... Savoy? Mieszkaliśmy przy ulicy, która za Niemców nazywała się Weidenstrasse, to znaczy Wierzbowa. Potem przemianowano ją na Gen. Pankowa. Teraz, zdaje się znowu jest Wierzbowa, tylko po polsku. (Paderewskiego, przyp. red.)

O! Już pamiętam nazwę tej restauracji. Nie „Savoy” tylko „Europa”. Była też restauracja „Białostoczanek” przy Bytowskiej i za skrzyżowaniem Bytowskiej z Pankowa „Pod Bykiem”. Flaki z pulpetami tam były. Wspaniałe.

Wszędzie, gdzie byłem, zapisywałem się do czytelnicy. Jestem maniakiem bibliofilu; odkąd przeczytałem Trylogię i Potop w wieku 9 lat, utożsamiałem się z bohaterami.

Czytelnia Koss w Słupsku była przy ulicy Popławskiej, chyba na parterze. Nie pamiętam, chociaż spędziłem tam kawał młodości. Prowadząca ją pani Kossowa wyróżniała się dużą kulturą osobistą i kompetencją.

Potrafiła doradzić lektury. Nie krzyczała, nawet jak się spóźniało z oddaniem książki. Ale pilnowała tego. Wspierała księgozbiór, fachowo prowadzony i utrzymany. Z katalogami, fiszkami. Do czytelnicy kupowało się abonament.

Pani Kossowa, pamiętam, była też zapaloną brydżystką. Moja mama prenumerowała książki w księgarni. Była kierowniczką szkoły przy Deotymy. Ja wtedy chodziłem do gimnazjum przy liceum pedagogicznym przy Partyzantów. Potem się przeniósłem.

Pamiętam dyrektora - pana Bolesławskiego. Partyjny, ale nieszkodliwy. Była pani od biologii - Milewska.

Nauczycielka z prawdziwego zdarzenia, nie partyjna. Kiedy wprowadzono przetłumaczony sowiecki podręcznik, to tam było napisane o genetykach - Weismannie i Morganie, że to lokaje i psy łańcuchowe imperializmu, czyli kapitalizmu, w ostatnim, gnilnym stadium (to chyba Lenin czy Stalin). Wtedy pani Milewska na lekcji powiedziała, że to haniebne. Że trzeba przedstawić argumenty naukowe, merytoryczne, a nie inwektywy. I już następnego dnia do szkoły przysłała na jej miejsce pani Suflicina, żona sekretarza powiatowego partii, niejakiemu Suflity.

Cała szkoła odśpiewywała co rano „Kiedy ranne wstają zorze”. W 1949-50, jakoś tak z dnia na dzień, przeszliśmy na Hymn młodzieży demokratycznej. Wiele osób po odśpiewaniu tego hymnu odruchowo się przeżegnało... Dużo w tym wszystkim było groteski.

Na rok przed maturą nie wszyscy nauczyciele byli na wysokim poziomie. Niektórzy byli po przyspieszonych kursach, ekspresowym awansie. Ludzi wykształconych brakowało - po niemieckich i bolszewickich morderstwach polskiej inteligencji.

Dyrektor gimnazjum, pan Doniewski, historyk...

Ci pierwszorzędni nauczyciele to na przykład pan Ojak z Poznania. Entuzjasta motoryzacji. Przed wojną miał auto. Wtedy nie było mody na auta i nie kupowali nawet tacy, których spokojnie było na to stać. W 1948 r. zorganizował kurs na prawo jazdy - w gimnazjum przy liceum pedagogicznym. Jeździliśmy amerykańskim Jeepem z demobilu.

W szkole była też normalnie religia. Pamiętam doktora Gierałtowskiego i jego żonę, która była fantastyczną nauczycielką angielskiego. Najlepszą, jaką znałem. Ich syn jest znanym artystą fotografikiem.

Jagoda Godulanka, córka starosty powiatu słupskiego.

Moja mama przyjaźniła się z Aluchną Emilianow, poetką z Wilna. Ona studiowała z Putramentem. Nie cenila go. Nie jako pisarza, ale jako człowieka, bo pisarzem był z prawdziwego zdarzenia; w całym tym Związku Literatów było też sporo zwykłych grafomanów...

Mama przyjaźniła się z państwem Branickimi. Pan Branicki (Aurelian bodźce) był lekarzem. Ich syn był w moim wieku.

Wspaniali lekarze, już wspominałem - Awsitz Godula...

Jeszcze - „Bar Mięsny”. Był nadmiar mięsa. Ludzie bali się, że będą kolchozy, i bili. Dania powstawały przewyborne.

Wszystkiemu towarzyszyło nadmierne spożycie alkoholu. Pijaństwo po prostu. Nie takie jak w Rosji, że ludzie z przepicia są zidiociali, ale...

Nie pamiętam, czy mówiłem, że była też restauracja „Bałtyk”, na którą mówiło się Korea. Dochodziło tam bezustannie do bójek. Sam brałem w nich udział. Korea, bo wtedy był ten konflikt koreański, ale w Słupsku to

były normalne burdy - nie wiem, jak to określić - pospolite awantury. Ludzie jakoś odreagowywali.

W Słupsku, po wojnie, znaleźli się nie tylko niezwykle interesujący, kulturalni, wartościowi ludzie, którzy stracili swoje siedziby albo uciekali przed UB, albo przyjechali, żeby poprawić swój byt. Zintegrowali się w sposób nieprawdopodobnie szybki i uważali się za rodowitych słupszczyzan. Było też sporo zwykłej, zupełnie koszmarniej hołoty.

Warunki, w których dorastałem, sprawiły, że szybciej dojrzałem. Te zakłady gastronomiczne w Słupsku nie przybrały komunistycznej postaci zwanej socjalistyczną. Nawet po upaństwowieniu trzymały się jeszcze.

„Bar Myśliwski” - największy bufet, jaki widziałem na świecie. Nie było stolików, tylko stał szynkwias. Siedziało się przy bufecie...





NASI CHŁOPCY

Mieszkańcy
Pomorza Gdańskiego
w armii III Rzeszy

– o prawdzie, której nie umiemy unieść

To nie jest wystawa kontrowersyjna. To jest wystawa konieczna. „Nasi chłopcy” w Muzeum Gdańska nie snują opowieści o bohaterstwie ani o zdradzie. Nie mieszczą się w żadnym z tych gotowych szufladkowań, tak wygodnych dla podręczników i politycznych tyrad. To historia o ludziach, których życie zostało wtłoczone w tryby maszyny historii – historii, która nie pytała o przekonania, pochodzenie, ani wybory. To opowieść o chłopcach z Pomorza Gdańskiego, naszych sąsiadach, dziadkach i pradziadkach, urodzonych nie po tej stronie pamięci, którą współczesna Polska chciałaby uznać za swoją.

Nikt nie pytał ich, kim się czują. Nikt nie czekał na ich „tak” lub „nie”. Ich tożsamość rozstrzygano z zewnątrz – arbitralnie, brutalnie, z kalkulatorem biologii i geografii w ręku. Był rozkaz. Była volkslista. Było ultimatum. „Albo front, albo obóz. Albo mundur, albo represje. Albo milczysz, albo giniesz.” W tej rzeczywistości nie było miejsca na wolność – była tylko konieczność przetrwania. I nikt ich za to przetrwanie potem nie rozgrzeszył. To właśnie boli. Nie estetyka plakatu. Nie tytuł wystawy. Boli, że każą nam dziś patrzeć w twarz prawdzie, której przez lata nie chcieliśmy uznać za własną. Prawdzie o losach ludzi żyjących na przecięciu języków, narodowości, rozkazów. O biografiach poszarpanych między systemami, których nie wybierali, a którym musieli się podporządkować. To nie zdrada – to dramat tożsamości. Dramat, który wciąż próbujemy zagłuszyć łatwym krzykiem: „nie nasi”, „nieprawda”, „atak na Polskę”. A przecież to są właśnie nasi. Nasi chłopcy. Tylko że wtedy nikt nie chciał ich słu-

chać. A dziś, choć wolno już mówić – wciąż nie chcemy słyszeć. To są opowieści o przymusie, o samotności, o przemilczeniu. O dramatycznym braku sprawstwa, który nie pasuje do naszych mitów narodowych. O życiu, które nie mieści się w pomnikowej narracji. Bo pamięć historyczna w Polsce zbyt długo była ćwiczona do defilady, a nie do słuchania. A przecież wielu z nich dezertowało z Wehrmachtu, by dołączyć do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Szukali drogi powrotu – nie tylko do ojczyzny, ale do godności. Wystawa przypomina choćby losy Edmunda Tyborskiego – młodego Pomorzanina, który uciekł z niemieckiej armii i próbował dostać się do partyzantki. Za tę próbę został zgilotynowany, a jego rodzinę zesłano do obozu. Czy jego śmierć nie zasługuje na pamięć tylko dlatego, że wcześniej nosił niewłaściwy mundur? Pomorze nie potrzebuje cenzury. Potrzebuje odwagi.

Tę odwagę podkreśla także komandor Roman Rakowski, żołnierz Armii Krajowej, uczestnik wernisażu wystawy „Nasi chłopcy” w lipcu 2025 roku. W swoim liście opublikowanym przez Muzeum Gdańska napisał:

„Kto wie, pewnie nieubłagany los sprawił, iż strzelałem do wrogów w niemieckim mundurze, być może pochodzących z Pomorza. (...) Tak, wykonywaliśmy wyroki Wojskowych Sądów Specjalnych za zdradę, za przestępstwa popełniane na szkodę Państwa Podziemnego, w tym bandytyzmu. Ale co ciekawe i dla mnie bolesne, za zdradę wykonywaliśmy taki wyrok na oficerze służby stałej Wojska Polskiego, a nie na mieszkańcach Pomorza wcielonych siłą do Wehrmachtu. (...) Bo wtedy na Pomorzu to był inny świat. To był Reich, ziemie anektowane do III Rzeszy.

(...) To oni musieli wybierać pomiędzy śmiercią synów w znie-nawidzonym mundurze gdzieś na froncie, a życiem reszty ro-dziny, albo wywiezieniem do KL Stutthof czy Potulic. (...) I tak, to byli NASI CHŁOPCY, chłopcy matek, ojców, sióstr i braci, którzy siłą wcieleni do wrogiej armii próbowali w ten sposób ratować życie bliskich. (...) Bo Polska ma wiele córek i synów i jest jedną matką dla nich wszystkich."

Pełny list Rakowskiego, który stanowi ważne świadectwo historyczne i głos sprzeciwu wobec zakłamywania przeszłości, dostępny jest na stronie Muzeum Gdańska: Nasi Chłopcy. List komandora Romana Rakowskiego, żołnierza Armii Krajowej | Komunikaty | Biuro prasowe Muzeum Gdańska

PO OBU STRONACH MILCZENIA

Historie Pomorza i Śląska brzmią inaczej w podręcznikach. Ale kiedy siadasz naprzeciw człowiekowi i słuchasz - bez filtrów, bez flag, bez gotowych osądów - nagle okazuje się, że to ta sama opowieść. Ta sama rana. Ta sama bezsilność. Historie podobne do tych z Pomorza usłyszałam na Śląsku. Osobiście. W rozmowach z ludźmi i rodzinami, z tymi, którzy przetrwali - i z tymi, którzy już nigdy nie potrafili się z tego przetrwania wytłumaczyć. Słuchałam ich ze łzami w oczach. Bo mówiły nie tylko o przeszłości - mówiły o wstydzie. O niezrozumieniu. O narodzie, który nigdy nie uznał ich bólu za „swojski”. Ślązacy wcielani siłą do Wehrmachtu - tak jak chłopcy z Pomorza - nie byli pytani, kim się czują. Granice rysował okupant. Rozkaz był rozkazem. Nie było alternatywy. Tylko mundur. Albo kara. Albo obóz. Albo represje wobec rodziny. Ale największy ból przyniosło to, co przyszło potem. W „wolnej” Polsce, już po 1945 roku, brat bywał katem dla brata. W komunistycznym obozie Zgoda ginęli ludzie - bo byli Ślązakami. Bo mieli złe nazwiska. Bo ktoś wpisał ich na volkslistę, by ratować rodzinę. Salomon Morel, polski komendant, w polskim mundurze - z polskim rozkazem - zarządzał miejscem, którego nie chcemy pamiętać. To też jest polska historia. I jeśli nie potrafimy jeszcze powiedzieć „przepraszam” - to przynajmniej przestańmy udawać, że to się nie wydarzyło.

DLACZEGO NIE UMIEMY TEGO UDŹWIGNĄĆ?

Bo ta historia nie mieści się w naszym narodowym scenariuszu. Bo pamięć zbiorowa została zawężona do jedynej słusznej opowieści: o męstwie bez cienia, o cierpieniu z wyłączością, o ofiarach, którym nadaliśmy imiona - pod warunkiem, że pasują do pomnika. Martyrologia została zastrzeżona - na wyłączność. Tylko nasze krzywdy mają wagę. Tylko nasze łzy są uznawane za dowód cierpienia. Każda inna pamięć zostaje natychmiast odrzucona: jako prowokacja, jako „atak na Polskę”, jako fałsz podszyty obcą intencją. Nie wolno mówić o Jedwabnem, bo zakłóca zbiorowy mit. O Zgodzie - bo rzuca cień na po-

wojenne „wyzwolenie”. O Ślązakach, Kaszubach, Mazurach - bo ich losy nie poddają się prostemu podziałowi na bohaterów i zdrajców. A przecież gdy przychodziło do przymusowego poboru, gdy kazano im wkładać mundur wroga - wtedy byli wystarczająco „nasi”. Żeby zginąć. Żeby zostać zapomnianymi. Ten krzyk przeciwko wystawie nie płynie z troski o historię. Płynie z lęku. Z głębokiego, niewypowiedzianego strachu przed odpowiedzialnością. Bo nie o pamięć tu chodzi. Chodzi o to, że historia przestaje być nasza, gdy przestaje być wygodna.

PAMIĘĆ, KTÓRA WYMAGA DOJRZAŁOŚCI

Pamięć nie jest liniowa. Jest trudna, złożona, czasem bolesna. I nie ma nic wspólnego z propagandą. Wystawa „Nasi chłopcy” nie podważa polskości. Ona przypomina, że polskość - jeśli ma być czymś więcej niż hasłem - musi objąć także te biografie, które przez lata spychano poza nawias. Chcę dziś słuchać historii naszych chłopców z Pomorza. Tak samo jak słuchałam tych ze Śląska. Bo każda z tych opowieści zasługuje na to samo: na miejsce w zbiorowej pamięci. Na prawdę. Na żal. I - jeśli trzeba - na przeprosiny.

HISTORIA, KTÓREJ WCIAŻ NIE CHCEMY USŁYSZEC

To nie jest tekst o wystawie. To jest tekst o naszej narodowej nieumiejętności przyjęcia prawdy, gdy przestaje być heroiczna, a zaczyna być ludzka. Dziś każdy z nas musi sobie zadać pytanie: czy mamy odwagę uznać, że ofiary to nie tylko ci, którzy zginęli z niemieckiej ręki, ale także ci, których w niemieckie mundury zaciągnął system? Chłopcy z Pomorza i chłopcy ze Śląska nie byli zdrajcami. Byli ofiarami. Ofiarami geografii, ideologii i historii, której nie mieli prawa wybrać. Ich tragedia nie polegała na tym, że „poszli do Wehrmachtu”, lecz na tym, że nikt nie usłyszał ich sprzeciwu. A my - dziś - nadal nie chcemy go usłyszeć. Wolimy mit niż prawdę. Sztandar niż opowieść. Patriotyzm łatwy, selektywny i bezpieczny.

Rakowski w swoim liście przypomina jeszcze jedną, gorzką prawdę:

„Łatwo siedząc w wygodnym fotelu przy herbacie, szermować czyimiś życiem i krwią niż własną, mówiąc jak z perspektywy lat trzeba było się zachować. To nie wirtualna gra, to prawdziwe kule, prawdziwe pociski, prawdziwa krew, prawdziwa śmierć i prawdziwy strach. (...) Dlatego mówiło się w AK: 'nie bądź głupi, nie daj się zabić'."

Mam nadzieję, że władze Muzeum Gdańska i władze miasta nie ugną się pod krzykami tych, którzy chcą zagłuszyć prawdę - i że pozwolą wreszcie tym chłopcom mówić. Głośno, uczciwie, po raz pierwszy naprawdę.

Urszula Markowska-Merecka



Nowobramska jak przed wojną.

Czyli „Historia ulicy Nowobramskiej w ceramice Janiny Dylewskiej

W „Ceramikarni” przy Szkolnej w Słupsku jest przytulnie i ciepło. Sprawia to nie tylko wygodny stół do pracy, przy którym zmieści się nawet dziesięć osób, ale przede wszystkim charakter i charyzma gospodyni. Janina Dylewska prowadzi tu zajęcia ceramiczne od 2011 roku. Wspiera ją w tym córka Hanka. W tym właśnie miejscu powstały ceramiczne odwzorowania wielu słupskich zabytków. Najnowsze prace - kamienice z ulicy Nowobramskiej - oglądać można w galerii budynku przymurzonego w tzw. Kasztelu Słupskim.

Piotr Merecki: Zapytam na początek przewrotnie, ile jeszcze słupskich obiektów zostało do ulepienia?

Janina Dylewska: Jeszcze ze 300 budynków.

PM: I wszystkie ma Pani w planie?

JD: No nie wiem, czy zdążę. Trudno powiedzieć (śmiej).

PM: A teraz poważnie. Od niedawna można oglądać wystawę będącą, w moim przekonaniu, kontynuacją pracy, która zaczęła się kilkanaście lat temu od wykonania części gotyckich zabytków w formie ceramicznej. Ile trwa ta przygoda z zabytkami Słupska?

JD: W zasadzie od początku naszej działalności. Na rocznicę pracowni, to był rok 2012, chciałam pokazać coś wyjątkowego. Ponieważ mieszkam na Mostnika, to jest moje podwórko, więc padło na Zamek, bo jak wychodzę z domu to go widzę. Na rocznicę pracowni ulepiłam zatem Zamek Książąt Pomorskich.

Nie jestem ceramikiem, ceramicy raczej nie lepią takich rzeczy, glina się do tego nie nadaje, no ale jak się baba uprze, to wiadomo. W zasadzie, to nawet nie ciągnęło mnie do zabytków, po prostu chciałam pokazać, że z ceramiki można architekturę ulepić.

A potem, jak zaczęły przychodzić na zajęcia dzieci, klasy, dorośli, i zwracali na ten zamek uwagę, pomyślałam, że zrobię więcej. No i zaczęłam od Baszty Czarownic. Zamek już był, więc myślę, trzeba dokończyć kompleks zamkowy. No i tak powoli się zaczęło. I to bardzo powoli, bo na lepienie takich obiektów trzeba mieć czas, a przecież na pracownię trzeba było zarobić. a jak robię zabytki, to nie robię nic innego, no więc tak - coś za coś.

Potem był remont pracowni - wymieniliśmy okna, przewody i wyremontowaliśmy toaletę.



fot. Piotr Merecki



fot. Piotr Merecki

Stary Rynek zrobiłam, jak zaczęły się tam wykopaliska, dawno, dawno temu, te pierwsze. Zrobiono wtedy dużo zdjęć, które udostępniono mieszkańcom. Bardzo to było pomocne.

PM: Trzeba tutaj powiedzieć przynajmniej dwie rzeczy, że po pierwsze: to jest odwzorowanie tych obiektów w skali, czyli wymiary nie są przypadkowe, a po drugie: zaczęło się od zabytków, które jeszcze możemy oglądać, ale już w przypadku Starego Rynku mówimy o budynkach, których dzisiaj nie ma, więc do tego doszła jeszcze praca w poszukiwaniu źródeł, które pokażą jak te kamienice wyglądały.

JD: Jak mówiłam, Stary Rynek był dobrze obfotografowany, zwłaszcza dwie jego pierzeje. Przestrzeń placu pozwalała robić zdjęcia. Już teraz nie pamiętam dokładnie z którego były roku. Część może nawet sprzed 1870, zanim kolej powstała. Odstęp czasowy między niektórymi zdjęciami wynosił nawet 10 lat, zauważyłam, że na tej krótkiej przestrzeni różnice między wyglądem kamienic były znaczne, bo już zaczęto remontować fasady budynków, robić nowe.

Trzy budynki, wśród których jest apteka to było proste, bo jeszcze istnieją. Trochę miałam kłopotu z ustaleniem wysokości, wyznaczyłam ją od apteki właśnie. To było zanim jeszcze Tomek Urbaniak wydał swoje publikacje, a może nawet już były, tylko o nich nie wiedziałam. Rynek nie był taki trudny.

PM: Kamienice na Nowobramskiej były naturalną konsekwencją – ulica odchodzi od rynku. Kiedy przyszła decyzja by je ulepić?

JD: Pomysł przyszedł kiedy posiedzieliśmy sobie z Hanką trochę w tramwaju, gdzie miałyśmy punkt sprzedaży. Ale Nowobramskiej nie zrobiłabym, gdybym nie korzystała z Tomka książek. Dyskutowaliśmy też o tym. Tomek zrobił piękne opisy do wystawy, uzupełnił ją też różnymi eksponatami. Na wystawie można zobaczyć 32 budynki na pięciu pierzejach. Kościół Mariacki i Nową Bramę.

PM: Jak określiła pani skalę? Było jakieś założenie, że będzie to np. 1:70?

JD: Nie wymyślałam w skali, tylko jak robiłam Zamek Książąt Pomorskich musiał być taki, żeby mi się zmieścił do pieca. A później jak już zdecydowałam, że będę robić kompleks zamkowy, no to zmierzyłam sobie zamek, obliczyłam skalę i w tej skali robię wszystkie inne budynki, także to jest zasługa pieca.

PM: I jaka skala wyszła?

JD: Plus - minus 1:75. Dokładnie nie da się określić, części budynków już przecież nie ma.

PM: Mam jeszcze pytanie o kino Milenium? Rozmawialiśmy kiedyś na temat tego obiektu i o tym, że jest również w Pani planach.

JD: Ja nawet zaczęłam. Zaczęłam, ale jakoś tak... Nie podoba mi się ta bryła.

Nawet już ją sobie rozrysowałam. Tylko nie mogłam sobie przypomnieć szczegółów, tam były jakieś filary z boku. Potem pomyślałam: Dylewska, daj ty sobie spokój z tym Milenium. Zrobiłam kilka małych form, mam magnesy z Milenium. Ale makiety nie ma.

PM: Co dalej? 300 budynków do zrobienia...

JD: Nie wiem, chyba zacznę ulicę Mostnika. Od budynku, w którym mieszkam.

Dzięki pracy pani Janki możemy oglądać nieistniejący już świat. A przynajmniej jego fragmenty – słupskie budynki, które dziś są już tylko historią. Dzięki najnowszym jej dziełom możemy przenieść się w czasie na przedwojenne ulice Słupska.

Piotr Merecki



Wystawę „Historia ulicy Nowobramskiej w ceramice Janiny Dylewskiej” oglądać można w Kasztelu Słupskim. Będzie czynna do 14 września br.

Wstęp jest bezpłatny, Kasztel zaprasza od wtorku do piątku w godzinach od 13 do 17, w soboty i niedziele od 12 do 16.



Z fontanny do dyskusji. Nowy rynek w Słupsku dzieli, wodotryski łączą. Ale czy są bezpieczne?

Nowy Stary Rynek w Słupsku wygląda jak wiele współczesnych placów: równo, szaro, zwężle. Ale to nie estetyka, tylko wodotryski stały się jego główną atrakcją. Dzieci wskoczyły w strumienie, dorośli w komentarze.

Bo czy można się kąpać w fontannie? Czy to bezpieczne? I czy tabliczka „zakaz kąpieli” obowiązuje również tam, gdzie nie ma niecki?

Obalamy mity, tłumaczymy technologię i przyglądamy się społecznemu fenomenowi najchłodniejszego skrawka w mieście.

Zmodernizowany Stary Rynek w Słupsku – świeżo oddany do użytku z początkiem lipca – nie różni się wiele od innych podobnych placów po rewitalizacyjnej obróbce. Betonowa tafla, geometryczna kostka, kilka ławek i trochę zieleni walczącej o życie. Gdyby nie jedno – nie zwróciłby szczególnej uwagi.

Tym jednym są wodotryski. Strzelające pionowo strumienie wody, osadzone w płaskiej posadzce – granitowej, surowej, jak cały plac. Ten wodny akcent stał się nie tylko punktem centralnym przestrzeni, ale i społecznego fermentu. To właśnie fontanna – a raczej to, co z niej uczynili mieszkańcy – wywołała największe emocje.

Bo o ile projektanci widzieli w niej dekoracyjny wodny ornament, to rodziny z dziećmi zobaczyły coś zupełnie innego. Nie ozdobę, ale kąpielisko.

FONTANNA A WODOTRYSKI. NIBY TO SAMO, A JEDNAK NIE DO KOŃCA

Na pierwszy rzut oka – woda leci, dzieci biegają, mamy suszą ręczniki na ławkach. Ale z punktu widzenia konstrukcji, funkcji i przepisów – fontanna klasyczna, a wodotrysk posadzkowy to dwa różne światy.

Fontanna tradycyjna to najczęściej niecka z wodą – otwarta, głęboka na kilkanaście lub kilkadziesiąt centymetrów, z rzeźbami, misami, efektownym rozbryzgiem. Woda stoi, chlupie i... łatwo się zanieczyszcza. Dlatego na każdej takiej instalacji zobaczymy tabliczkę: „Zakaz kąpieli”. I to nie z kaprysu urzędników – lecz z powodu przepisów sanitarnych i budowlanych.

Wodotryski – jak te na słupskim rynku – to inna bajka. Brak zbiornika. Woda wypływa pionowo z gruntu, a po chwili znika w odpływie, wracając do obiegu. Nie ma miejsca, w którym mogłaby zalegać, a jej kontakt z ciałem przechodnia jest szybki, dynamiczny, chłodzący – nie kąpielowy. Mimo to, w słoneczne dni przyjmują funkcję... nieoficjalnego aquaparku miejskiego.

KĄPIEL DZIECI? WOJNA W KOMENTARZACH GOTOWA

Zanim mieszkańcy zdążyli przyzwyczaić się do nowego placu, na lokalnych forach rozgorzała dyskusja o granicach swobody i higieny. Dzieci pluskające się w fontannie – czasem w ubraniach, czasem w strojach kąpielowych – wywołały oburzenie części internautów.

„To nie jest basen, tylko rynek!” „W tej wodzie są ptasie odchody, fekalia i legionella!” „Przestańcie się czeplić, dzieci mają radość, a to przecież miasto dla ludzi, nie dla betonu.”

Pod każdym miejskim postem o rynku – dziesiątki komentarzy. Mieszkańcy podzielili się na obrońców radości dzieci i strażników porządku sanitarnego. Pojawiły się nawet pytania o interwencję sanepidu.

Czas więc wyjść z emocji i wejść w fakty. Czy rzeczywiście jest się czego bać?

CO PŁYNIE W SŁUPSKICH DYSZACH?

Jak informuje słupski magistrat, fontanna nie jest kąpieliskiem, ale jednocześnie woda w niej podlega bieżącej kontroli. Urząd tłumaczy, że instalacja została wyposażona w profesjonalny system filtracji i uzdatniania, a jej parametry są dostosowane do kontaktu z ciałem człowieka – choć formalnie nie do kąpieli.

W szczegółach:

- Zastosowano system Filtrex D500 z filtrem kwarcowym, pompą 0,47 kW, zaworem sześcioprogowym i pełnym orurowaniem.
- W obiegu zamontowano filtr narurowy serii WP z atestem Państwowego Zakładu Higieny.
- Wodę uzdatnia system chlorowania Gemas CLT - 167, zgodny z normą ISO EN 13451.
- Całość wspiera system zmiękczenia Euro 31 VC.

Parametry wody:

- pH: od 7,2 do 7,6,
- chlor wolny: od 0,2 do 0,6 mg/l.

Woda krąży w obiegu zamkniętym, a firma serwisująca fontannę regularnie kontroluje stan techniczny i jakość wody. W razie potrzeby – będzie ona wymieniana.

Parametry wody są na bieżąco kontrolowane i regulowane pod względem pH i ilości chloru tak, aby nie narażać mieszkańców – zapewnia rzeczniczka słupskiego Urzędu. – Fontanna uzupełnia wodę automatycznie, a systemy filtracji utrzymują ją w należytym stanie.

A CO Z PTAKAMI I INNYMI ZANIECZYSZCZENIAMI?

Najczęściej powtarzanym w komentarzach argumentem przeciwników wodnych igraszek dzieci jest zagrożenie bakteriologiczne – szczególnie z ptasich odchodów.

Co z zagrożeniem wynikającym z „innych użytkowników”, w tym osób bezdomnych? To problem bardziej społeczny niż sanitarny. Kluczowe jest szybkie reagowanie na incydenty – jeśli ktoś korzysta z fontanny w sposób niehigieniczny, służby miejskie powinny zadziałać. Miasto zapewnia, że firma serwisująca fontannę regularnie sprawdza jakość wody i stan techniczny urządzeń.

BETONOWY PLAC, MOKRE DZIECI, GORĄCE EMOCJE

Co ciekawe – nowy rynek wzbudza kontrowersje w znacznie większym stopniu niż sama fontanna. Jego surowa estetyka, brak cienia, mała liczba miejsc do siedzenia i minimalna zieleń dzielą mieszkańców równie skutecznie, co temperatura wody.

Jedni nazywają go „pustynią”, inni – „nowoczesnym placem miejskim”. Ale w jednym punkcie panuje zgoda: dzieci bawią się tam najlepiej. To właśnie one – wbrew internetowym wojnom, tabliczkom i regulaminom – oswoiły rynek jako przestrzeń do życia, nie tylko do oglądania. I może właśnie dlatego ten nowoczesny, sterylny plac stał się prawdziwym miejscem miejskim.

WNIOSEK? NIE DEMONIZOWAĆ, NIE IGNOROWAĆ

Fontanna na Starym Rynku w Słupsku nie jest kąpieliskiem, ale też nie jest zwykłą fontanną. Z punktu widzenia technologii, to instalacja zaprojektowana do bezpiecznego kontaktu z wodą.

Nie należy pić z dysz, ale przecho-
dzenie, chłodzenie się, a nawet chwilo-
we pluskanie – nie stanowi zagro-
żenia, o ile system działa prawidłowo.

Urszula Markowska-Merecka



fol. Marcin Bona



Słupskie przystanki

Metafizyka mobilności

Mamy to! Kolejny sukces, kolejny kamień milowy i powód do niekłamanej dumy - dla nas wszystkich, ale przede wszystkim dla wiceprezydent Marty Makuch, która jak mało kto zna się na przystankach i wie, że czekać to trzeba z klasą. Z takim zaangażowaniem, jakby sprzedawała apartament z widokiem na ocean, 17 lipca, na portalu „Inwestycyjny Słupsk” przekonywała, że mamy niemal najlepsze wiaty na całym Pomorzu. Wymieniamy je wciąż i wciąż - w rytmie, który można by nazwać medytacyjnym.

Bo choć świat pędzi - gdzieś tam budują koleje dużych prędkości, testują autonomiczne busy i teleportację myśli - Słupsk nie zostaje w tyle. My stawiamy wiaty. Ale nie byle jakie! To nie są jakieś tam daszki z marketu budowlanego, przybite do płotu na dwa wkręty. To są wiaty z ambicjami. Pawilony kontemplacji komunikacyjnej. Przystankowe al-

tany nadziei. Aluminiowe poematy miejskiej infrastruktury. Wiaty, które - gdyby mogły - same poszłyby po pasażerów i odprowadziły ich do domu.

W ciągu ostatnich siedmiu lat udało się postawić aż 20 takich arcydzieł. Średnio 3 sztuki rocznie - jakby ktoś dawkował je homeopatycznie, w ilościach kontrolowanych, żeby nie było szoku komunikacyjnego. Ale hej! Przynajmniej nie przedawkowaliśmy.

Są piękne, błyszczące jak nowy grill na działce, odporne na deszcz, wiatr i krytykę społeczną. Na gwarancji - a przecież niewiele rzeczy w życiu jest dziś na gwarancji. Każda z nich gotowa do spełniania swojej funkcji - o ile tylko pojawi się autobus. Autobus, który w tym układzie jest jak biały kruk - może jest, a może to tylko legenda.

Czy to tempo ekspresowe? Nie. Ale czy warto było czekać? Oczywiście, że tak! Bo przecież nie od razu Rzym zbudowano, a jego przystanki autobusowe powstawały na raty, w trybie konsultacji społecznych z Juliuszem Cezarem.

Ktoś powie: „to tylko 3 przystanki rocznie”, ale my mówimy: aż 20 wiat w 7 lat - i to naprawdę ładnie brzmi. Taki slogan, co może i nie ruszy autobusu, ale za to poruszy serce. Bo u nas w Słupsku szklanka zawsze do połowy pełna, a pod nią - nowiutka wiata, lśniąca w porannym słońcu jak kapsuła czasu, czekająca na autobus jak na księżca z bajki.

Tak. 20 przez 7 lat. I niech się śmieją, a my mamy dach nad głową.

TELENOWELA PRZYSTANKOWA, ODCINEK 2: „DWUNASTKA I DOKTORZY MYŚLI”

Ale spokojnie - ostatnio tempo wyraźnie przyspieszyło. W cudownie uzdrowionym krajobrazie ulic Norweskiej i Owocowej niczym grzyby po dotacji wyrosło aż pięć (!) nowych wiat. I to nie byle jakich - z ławkami, daszkiem i śmietnikiem w komplecie, czyli full wypas. Całość - wiadomo: prestiż, papierologia i święto samorządu. Żeby nie było, przypisano im nawet linię nr 12.

Linia nr 12?

Nie jeździ.

Nie wiadomo, czy ruszy.

Nie wiadomo, czy istnieje.

Ale za to jest przypisana. I to do pięciu wiat, które stoją jak pomniki triumfu logistyki nad logiką. Witamy w Słupsku - mieście, gdzie infrastruktura wyprzedza przyszłość, a autobusy nie nadążają za deklaracjami.

21 lipca, na antenie Radia Gdańsk, dyrektor Zarządu Infrastruktury Miejskiej Tomasz Orłowski oświadczył:

„Choć zapowiadamy tę linię od jakiegoś czasu, to jednak... nie pojedzie.”

Dlaczego?

„Bo trwa remont ulicy Szczecińskiej.”

I już wszystko jasne. To nie wojna. Nie kataklizm. Remont. Jeden. A komunikacja staje jak Windows 98 po błędzie krytycznym. O objazdach? Zbyt operacyjne. Zbyt śmiałe. Zbyt... praktyczne.

Ale to jeszcze nic. W drugim akcie dramatu dyrektor ZIM dorzuca swoje trzy grosze filozofii:

„Nasi analitycy z działu transportowego - i to w randze doktora - myślą nad tym, aby faktycznie wprowadzić taki autobus, który w jakiś sposób rozwiąże problemy komunikacyjne mieszkańców.”

I w tym momencie kurtyna opada.

To nie jest zwykłe czekanie.

To projekt badawczy.

To nauka w czystej formie.

Nie chodzi o to, żeby autobus po prostu ruszył. Nie. Chodzi o to, żeby powstał autobus metaforyczny - wehikuł idei, który może nigdy nie wyjedzie z zajezdni, ale za to będzie miał sens istnienia. Jak jednorożec. Jak projekt ustawy, który wzrusza, ale nie działa.

POEZJA BEZ RUCHU

A tymczasem przystanki - stoją. Nieruchome, a jednak pełne potencjału. Jak wystawy sklepu, który nigdy się nie



fot. arch. prywatne

otworzył. Jak żyrandole w bloku bez prądu.

Może warto je zagospodarować?

- Punkt medytacji miejskiej: „Zamknij oczy. Autobus nie istnieje. Ale ty - tak.”

- Galeria sztuki użytkowej: „Forma bez funkcji, funkcja bez formy.”

- Pawilon filozofii mobilności: „Czekanie jako wybór polityczny.”

- Albo po prostu: tablica ogłoszeń rzeczy nieistniejących i nieplanowanych.

Bo przecież nie o podróż tu chodzi. Tu chodzi o kontemplację mobilności jako stanu ducha. W końcu - w Słupsku można nie dojechać z godnością. Pod wiatr. Z biletem. I z marzeniem, które nie zostało jeszcze skasowane. W blasku przystanku, który nie prowadzi donikąd, ale robi to z klasą.

KIEPURY I BANACHA

- ALEJE WIELKICH OCZEKIWAŃ

Ale to nie jedyny taki przypadek - ulica Kiepury, cicha alejka wielkich oczekiwań. Dwa przystanki, z których każdy mógłby być bohaterem opowiadania. Pierwszy - samotna tabliczka w krajobrazie, gdzie wiatr niesie echo pytań bez odpowiedzi. Drugi - bezrobotna wiata, smukła i przesklona, niczym altanka dla marzycieli.

Tyle że zamiast zapachu bzów - kurz i brak rozkładu. Według mieszkańców - stoi tam już od trzech lat, cierpliwa i nieruchoma, jakby wyjęta z jakiegoś filmu o ludziach, którzy nie mają dokąd jechać.

Przypisano jej linię nr 28, choć ta - jak szeptano - istnieje tylko w snach planistów. Docelowo ma przyjeżdżać także linia nr 18, ale na razie trwa w metafizycznym zawieszeniu. Można więc usiąść, zapiąć kurtkę i rozważać sens podróży bez pojazdu i koszty operacyjne MZK.

A obok - zawieszona z dumą wiadomość dla mieszkańców: „Szanowni Mieszkańcy!

Już wkrótce, po rozbudowie niezbędnej infrastruktury drogowej ulicy Banacha, ten przystanek będzie obsługiwany linią 18.

W docelowym układzie komunikacyjnym planowane są również do jego obsługi dodatkowe połączenia. Wstępne plany zakładają funkcjonowanie przedłużonej linii 18.

O szczegółach zmian będziemy informować na bieżąco. Do zobaczenia na trasie.”

Jakże piękne to „już wkrótce” - czas przyszły dokonany, pełen nadziei. Autobusu nie ma, ale jest obietnica, a to przecież też coś. Może nawet więcej.



A tuż pod ogłoszeniem - prośba, prosta i wzruszająca w swojej treści jak haiku:

„Prosimy nie niszczyć przystanków.”

EPILOG BEZ ROZKŁADU JAZDY

Bo przecież wszystko tu jest. Szkło. Aluminium. Cisza. Czekanie. Tylko autobusu brak. Ale nie bądzmy drobiazgowi - czasem wystarczy samo miejsce, by poczuć, że gdzieś się zmierza. Takich przystanków nie ma nawet Warszawa.

Bo tylko w Słupsku można nie dojechać tak poetycko. Linia nr 12? Nie musi istnieć, żeby była legendarna. Wystarczy, że myślimy o niej - w randze doktora.

A jak napisał kiedyś klasyk:

„Autobus nie przyjechał, ale może to i lepiej.”

A tak całkiem serio - mieszkańcy dziękują za wiaty. Bo przecież wiata to już połowa sukcesu. Teraz wystarczy tylko, żeby coś się tam ZATRZYMAŁO i PODJECHAŁO.

Jak mawiał inżynier Mamon:

„Ja jestem praktyczny człowiek. Ja lubię, jak coś jeździ.”

Urszula Markowska-Merecka



„Słupsk dla rzeki, Słupia dla miasta”*

Sposób na osiedlenie się był od zawsze prosty - trzeba było znaleźć wodę. Najlepiej bieżącą, rzekę, strumień. I tam zbudować szalas. Woda była i jest do życia niezbędna. Czy dziś ciągle to rozumiemy i czy funkcje rzek w miastach pozostają wciąż te same? Czy może rzeki dzisiaj dają nam o wiele więcej?

No i jak my odwdzięczamy się rzekom...

O Słupi w granicach Słupska rozmawiam z:

Marcinem Millerem, kierownikiem Parku Krajobrazowego Dolina Słupi, należącego do Pomorskiego Zespołu Parków Krajobrazowych

oraz z Anną Mariolą Kasprzak, starszym specjalistą do spraw edukacji PKDS.

Piotr Merecki: Zatem jak to jest z człowiekiem i wodą?

Marcin Miller: Pierwsze cywilizacje rzeczywiście powstawały w dolinach wielkich rzek. Podobnie było z miastami, bardzo wiele powstawało nad wodą, rzeki pełniły różne funkcje, te transportowe, czy też dostępności do wody, z której można korzystać, wybijały się na pierwszy plan. W tej chwili niektóre z nich utraciły znaczenie.

Dawniej wodą, także na Słupi, odbywał się transport, przecież Ustka była niegdyś własnością Słupska, portem miejskim, spławiano rzeką różne towary. W tej chwili tego znaczenia nie ma. Transport w regionie przejeżdża drogi, czy koleje. Znaczenie Słupi jako dostarczycielki wody też jest u nas mniejsze, dlatego że mamy wodę z ujęć podziemnych, bodajże czwartorzędowych. Ale już taka Warszawa, ma ujęcia wody z Wisły i jest to bardzo ważna funkcja tej rzeki.

Wydaje mi się, że dziś rzeki mogą stanowić w miastach oazy, kliny zieleni, ponieważ w ich dolinach i w samym korycie grupują się wartości przyrodnicze, które człowiek coraz bardziej docenia. Rzekom towarzyszą, tak jest w przypadku Słupi w Słupsku, chronione siedliska przyrodnicze, które wykształcają się w ich dolinach.

Na Słupi w granicach miasta mamy specjalny obszar ochrony siedlisk: Dolina Słupi z Europejskiej Sieci Natura 2000, dlatego że akurat nawet w centrum miasta mamy gatunki roślin i zwierząt, które są ważne w skali europejskiej.

PM: Czyli ta funkcja przyrodnicza, tak ją nazwijmy, jest tutaj istotna. Co ponadto mieszkańcy mogliby zyskać na sąsiedowaniu z rzeką, na tym, że miasto ma rzekę w swoich granicach?

Anna Mariola Kasprzak: Wydaje mi się, że przede wszystkim spokój, którego często potrzebujemy, a znajdujemy w różnych miejscach: w lesie, na działce, ale też właśnie patrząc na wodę. Zwłaszcza na przemieszczającą się wodę. Poza tym miejsca nad rzeką często chronią przed zgiełkiem miasta. Przy mostach, wiadomo, jest hałas, jakiś transport się tam odbywa. Natomiast kiedy człowiek oddali się kawałek, to można znaleźć takie miejsca nawet w samym centrum miasta, gdzie rzeka wycisza. Jest to potrzebne, żeby odpocząć, żeby złapać nową energię. Ale też żeby wsłuchać się w rytm przyrody.

Nawet jeżeli nie wchodzimy do wody, bo nie ma kąpieliska, bo nie ma możliwości zanurzenia się w niej, to woda daje chłód, woda daje specyficzny mikroklimat. Ponadto płynącą wodę słyszeć. Zatem przyroda nad wodą dociera do nas wszystkimi zmysłami.

PM: Czy Waszym zdaniem Słupia jest w naszym mieście wykorzystana maksymalnie? Co z Waszego, przyrodniczego, punktu widzenia można by jeszcze zrobić?

MM: Fakt odwrócenia się twarzą do rzeki poprzez realizację Bulwarów niewątpliwie należy ocenić bardzo pozytywnie. To jest cecha nie tylko Słupska, coraz więcej miast odwraca się twarzą do swoich rzek, porządkując tereny nadrzeczne i stwarzając z nich takie super miejsca do turystyki, rekreacji, do odpoczynku.

Na Bulwarach można by było jeszcze coś dodać, żeby bardziej związać je ze Słupią. Nasuwa się przykład Warszawy, gdzie na lewym brzegu rzeki posadowiono sylwetki ryb takich najbardziej charakterystycznych dla Wisły w tym rejonie. My też mamy takie ryby w rzece, z których Słupia słynie wśród wędkarzy nie tylko w Polsce.

Można by było na przykład jakąś troć postawić, czy lipienia.

Mieliśmy też taki pomysł, żeby się pochwalić tym, co mamy w przepławkach.

W słupskich przepławkach jako jednych z nielicznych w Polsce funkcjonują cały czas liczniki i skanery do monitoringu wędrówek ryb. W ubiegłym roku wymieniono je na nowe, które pokazują kapitalne rzeczy. Można zobaczyć na filmach, co rzeką wędruje i co w niej żyje. Oprócz przejścia ryb mamy nieustanne migracje wydry, zdarzają się bobry, nowe gatunki ryb, jak chociażby ten sławny sum, który się ostatnio w przepławkach pojawił.

Można by to było pokazać szerszemu gronu osób korzystających z Bulwarów na monitorze, gdzie byłyby te informacje i filmy wyświetlane. Pozwoliłoby to pogłębić wiedzę i bardziej żyć się z naszą rzeką. Wydaje mi się, że ten pomysł miałby jeszcze jeden walor: ludzie, wiedząc, że w ich rzece jest takie życie, czuli by się za nią bardziej odpowiedzialni. No i moglibyśmy się tym pochwalić traktując jak kolejną atrakcję turystyczną.

PM: Pamiętam czasy, gdy w okolicy dzisiejszej przepławki, było widać ryby płynące w górę rzeki na tarło. Próbowaliśmy przeskoczyć przez ten jaz.

MM: To akurat był smutny widok, powiedzmy szczerze.

PM: No tak, smutny dla ichtiologa, przyrodnika ale ja to porównuję z tym, kiedy widzimy na przykład delfiny skaczące w oceanie.

MM: Pewnie, to wygląda bardzo fajnie, atrakcyjnie, natomiast wyobraźmy sobie 3-kilową rybę, która wyskakuje prawie 2 metry w powietrze i z impetem wpada na drewnianą czy betonową barierę hydrotech-

niczną. To dla tej ryby na pewno nie jest miłe. Na szczęście ten problem mamy w Słupsku rozwiązany. Funkcjonują dwie wysokosprawne przepławki. Jedyna należy do Zarządu Okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego w Słupsku. Druga jest własnością spółki „Wyspa Słupska”, przebudowaliśmy ją w 2006 roku, tak że w tej chwili doskonale spełnia swoje zadanie pod warunkiem, że płynie nią woda.

PM: Czy w granicach miasta w Słupi istnieją jeszcze sztuczne tarliska, które kiedyś instalowaliście? Chociażby to blisko kompleksu zamkowego?

MM: Tak, cały czas staramy się dbać o tarlisko w ujściu kanału Młyńskiego. W ubiegłym roku dosypaliśmy tam 40 ton żwiru, który jest stamtąd wymywany na skutek, powiedzmy, niedogadania się, czy też niewypełniania zapisów operatu wodnoprawnego. Mam nadzieję, że ta sytuacja się unormuje, bo teraz właśnie są wydawane nowe pozwolenia wodnoprawne. Jedno dla Muzeum Pomorza Środkowego na elektrownię w Młynie Zamkowym, a drugie dla spółki „Wyspa Słupska”, więc myślę, że w tych dokumentach zostanie wszystko uregulowane.

Co roku, we wrześniu, odławiamy w okolicy tarliska narybek i co roku tam są łosose atlantyckie. Bardzo nas to cieszy, bo losoś to jest gatunek, który restytuujemy - przypominam, zniknął z naszych wód. Jest dużo troci, głowaczy białopłetwych, minogów. Także widać, że to tarlisko żyje i spełnia swoją funkcję.

PM: Co jeszcze moglibyśmy dla Słupi zrobić żeby poprawić jej stan, żeby ta symbioza człowieka i rzeki trwała jak najdłużej?

MM: Mówiąc o Słupi w granicach Słupska nie można mieć przed oczami tylko jednego zabudowanego odcinka. Czasem to są naprawdę różne

rzeki. W granicach miasta znajdują się też całkiem dzikie tereny rzeczne. Mówię tutaj zwłaszcza o tej terasie zalewowej, czyli tam gdzie rzeka wylewa. To są chociażby starorzeczka Słupska przy Uniwersytecie Pomorskim.

Dobrze, że miasto zdecydowało się tam powołać formę ochrony - pierwszą w Słupsku - jaką jest „Użytek ekologiczny słupskie starorzeczka”.

Również taki dziki charakter rzeka ma poniżej strzelnicy policyjnej w kierunku mostu kolejowego. To piękne nadrzeczne tereny z łęgami, czyli priorytetowymi, chronionymi siedliskami leśnymi. Jest tam dużo interesujących gatunków, które powinny pozostać w takim stanie jak dziś.

Natomiast można to przybliżyć ludziom. Poprowadzić ścieżki przyrodnicze, pokazać atrakcje, które nie każdy zna.

Natomiast jeżeli chodzi o centrum miasta, rzeka była tu uregulowana. To jest znowu rzecz historyczna - Niemcy zasypali dwie odnogi rzeki przechodzące przez miasto, pozostawiając tylko jedną. Pytanie, czy teraz byśmy tak zrobili, bo jednak to jest zabieranie terenów rzecze.

Kiedyś wody wezbraniowe przechodziły trzema korytami Słupi, teraz wszystko musi się zmieścić w jednym korycie. No i siłą rzeczy powoduje to lokalne podtopienia.

Żeby uchronić przed tym mieszkańców trzeba tę rzekę utrzymywać w należytych porządku. A to, co widzimy w Słupsku, jeżeli chodzi o utrzymanie koryta rzeczno, no to właściwie w ogóle przestało funkcjonować.

Przykładem są odsypy korytowe, czyli po prostu, szczególnie na zakrętach, naniesiony przez wodę pia-

sek i muł. Te nanosy powinny być regularnie zbierane.

Natomiast od 30 i więcej lat nikt tego nie robił, więc w niektórych miejscach koryto zwężało się prawie o połowę, w niektórych o jedną trzecią. To rodzi zagrożenie powodziowe, bo tymi nanosami powinna płynąć woda, czyli mieścić się w korycie, a nie płynie, musi wystąpić z koryta, bo zajęte jest ono przez piasek i muły.

Druga rzecz to utrzymanie rzeki, jeżeli chodzi o zarastanie roślinnością wodną w granicach cofki. Na tzw. śluzie łososiowej, czyli jazie głównym w Parku Kultury i Wypoczynku woda zwalnia przez ponad dwumetrowe spiętrzenie. Taka spowolniona woda ma tendencję po pierwsze do sedimentacji różnych frakcji niesionych, czyli tam będzie się osadzał materiał różnego rodzaju; po drugie sprzyja to rozwojowi roślinności wodnej, akurat może niekoniecznie preferowanej w rzece włosienicznikowej jaką jest Słupia. Mamy te włosieniczniki w centrum miasta, ale one preferują odcinki o szybkim prądzie wody. Tam gdzie jest zatrzymana woda, już tych roślin nie ma, natomiast zarasta bardzo silnie szuwar mannowy. Widzimy, stojąc na kładce przy jazie głównym, jeżeli obrócimy się w stronę byłego mostu czołgowego, jak rzeka jest silnie zarosnięta. To też powinno być usunięte.

Dziwny głos przyrodnika, prawda? Zlikwidować rośliny... Ale jednak miejmy świadomość, że to jest miasto i powinno się o to zadbać. Generalnie powinny się tym zająć Wody Polskie. Natomiast, z tego co wiem, na utrzymanie koryta rzeki w Słupsku są bardzo niskie nakłady, żeby nie powiedzieć wręcz zerowe.

Czyli mamy ładne brzegi, Bulwary w centrum miasta, dochodzimy do koryta rzeki i to koryto jest nieutrzymane, jest w stanie mocno za-

rośniętym. Umocnienia brzegowe też się sypią po tych pięćdziesięciu, sześćdziesięciu latach. Można by je zmienić na bardziej ekologiczne, już nie betonowe, tylko na przykład w formie gabionów. Tu jest jeszcze pole do popisu, tylko wydaje mi się, że powstanie konflikt, czyje to jest, kto ma się tym zająć. Tak naprawdę zająć się tym powinny Wody Polskie, ale miasto też mogłoby jakiś projekt stworzyć, żeby Słupię do końca uporządkować.

PM: Warto na koniec wspomnieć o wartości Słupi już nie tylko w granicach miasta.

AMK: To może ja powiem, jako kajakarka. Pływałam po wielu rzekach w Polsce. Słupia jest wśród kajakarzy znana i ceniona. Mimo tego, że na rzece znajduje się pięć elektrowni wodnych i one w wielu miejscach zmieniły jej górski charakter, to jednak są odcinki bardzo ciekawe i naprawdę znakomite do uprawiania turystyki. Czasami oczywiście spotykamy się z głosami, że ktoś się wybrał pierwszy raz na Słupię i jest zdenerwowany, bo trafił na jakieś przewrócone drzewo, ale to jest akurat atut tej rzeki, a nie jej wada.

Pod tym względem na pewno Słupia jest stawiana na takim piedestale rzek kajakarskich w Polsce.

MM: I jeszcze jedno: na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat nastąpiła też zdecydowana poprawa jakości wód rzecznych, myślę o ich czystości.

Dzięki środkom unijnym udało się uporządkować gospodarkę wodno-ściekową w Słupsku, gminach Kobylnica i Redzikowo. Wszystkie te miejscowości, które kiedyś truiły rzekę, są podłączone do wysokosprawnej słupskiej oczyszczalni. Więc jeżeli chodzi o jakość wód rzecznych nie mamy się czego wstydić.

Nie można tylko korzystać z dóbr jakimi obdarza nas rzeka. By żyć z nią w symbiozie trzeba też włożyć pracę. Bulwary nad Słupią to dobry kierunek. W tę samą stronę idą kolejne pomysły przyrodników.

Widzę też potrzebę, by miasto wymogło na właściwych instytucjach zajęcie się uporządkowaniem koryta rzeki w granicach Słupska i przed miastem. Skutek takich działań byłby pozytywny w przynajmniej paru aspektach: zmniejszyłoby się zagrożenie wezbranymi wodami, poprawiła estetyka brzegów Słupi, być może nawet powróciłby jej rodzimy włosienicznikowy charakter w miejscach, z których zniknęła tego typu roślinność.

Słuchajmy ludzi, którzy wiedzą. Warto, by ich pomysły stały się miejskimi realizacjami.

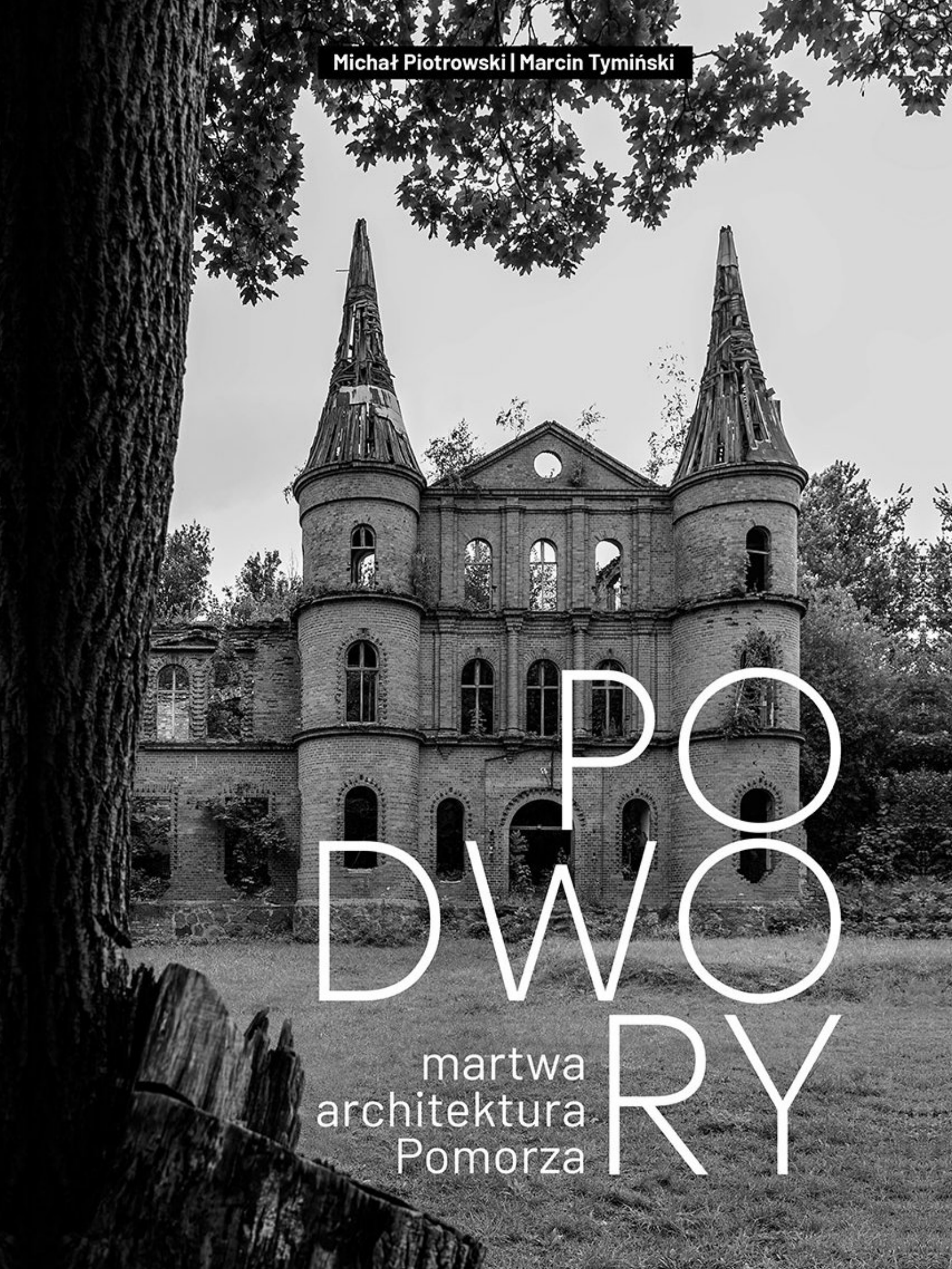


Piotr Merecki

* Tytuł pochodzi z opracowania Parku Krajobrazowego Dolina Słupi wskazującego możliwe do realizacji w Słupsku działania na rzecz rzeki i jej doliny.

fol. Piotr Merecki

Michał Piotrowski | Marcin Tymiński



PO DWO RY

martwa
architektura
Pomorza

W stronę ruin.

O pamięci, światłocieniu i sztuce patrzenia

Nie można tej pozycji przemilczeć. Nie można o niej nie opowiedzieć. Na rynku literackim pojawił się album, który nie tylko przyciąga oko, ale zatrzymuje serce i umysł.

„Podwory. Martwa architektura Pomorza” Michała Piotrowskiego i Marcina Tymińskiego to jedna z tych publikacji, które wymykają się klasyfikacjom – jest zarazem opowieścią, dokumentem i aktem pamięci. W czasach nadprodukcji obrazów i treści, oto książka, która domaga się uwagi i daje w zamian coś rzadkiego: prawdziwe doświadczenie.

Są książki, które się ogląda. I są takie, które się kontempluje – z namysłem, z czułością, z pełną świadomością wagi każdej strony. „Podwory. Martwa architektura Pomorza” Michała Piotrowskiego i Marcina Tymińskiego to właśnie taki album: przejmujący wizualny esej o tym, co zostało – i o tym, co bezpowrotnie odchodzi.

To nie tylko zapis fotograficzny. To również subtelna, intymna medytacja nad losem dziedzictwa, które przestało

pełnić funkcję, ale nie przestało mieć znaczenia. Nad miejscami, które nie opowiadają już historii – lecz wciąż ją przechowują, niemymi ustami popękanych ścian, osmalonych framug i wyblakłych herbów.

Już otwierający album cytat brzmi niczym poetycka przestroga i zapowiedź:

„Najczęściej kryją się w najgłębszym gąszczu. Otoczone morzem pokrzyw, żywopłotami z klujących dzikich jeżyn, armią przeciwskających się w wyscigu do światła drzewnych samosiejek. Żeby je zobaczyć potrzeba cierpliwości, determinacji, czasem też sprytu i odwagi. Kiedy się zbliżasz – łypią na ciebie ponurą nicością okien, zioną chłodem grzybowego wnętrza. Ale możesz być spokojny: nic ci nie zrobią. Od dawna nie żyją.”

To właśnie z taką empatią i uwagą autorzy podchodzą do ruin dawnych pałaców, dworów i rezydencji rozrzuconych po historycznym Pomorzu – rozumianym szeroko: od Bałtyku po Noteć, od Odry po dolną Wisłę. Każde z tych miejsc – porzucone, zdegradowane, niemal już niewidzialne – stanowi osobną opowieść. I każde z nich zostaje tu uchwycone z niezwykłym wyczuciem światła, kontekstu i przemijania.

Fotografie są czarno-białe, pozbawione efekciarskiej teatralności. Nie stylizują one dokumentują.



fot. z albumu *Podwory. Martwa architektura Pomorza*



fot. z albumu *Podwory. Martwa architektura Pomorza*

Ich siła tkwi w surowości: w cieniu osuwającego się gzym-su, w pustce wybitych okien, w zagrzybionym mroku wewnątrz. A mimo to – lub może właśnie dlatego te obrazy poruszają. W ich martwym pięknie kryje się coś więcej niż estetyka – jest w nim rodzaj prawdy.

„Podwory” to jednak nie tylko uczta wizualna. To także pasjonująca podróż przez warstwy historii, osadzona w faktach, anegdotach i opowieściach o dawnych rezydencjach – niekiedy magnackich, niekiedy skromniejszych, lecz zawsze ważnych dla lokalnego krajobrazu kulturowego. Opisywane miejsca rozsiane są nie tylko po Pomorzu – autorzy sięgnęli dalej, w rejony województw zachodniopomorskiego, lubuskiego, kujawsko-pomorskiego i wielkopolskiego, odkrywając przestrzenie pozornie wymazane z map pamięci.

Ich praca przypomina archeologię nieoczywistości – wydobywają to, co przykryła warstwa obojętności, zaniedbania, czasem celowego zapomnienia. A przy tym nie moralizują. Ich narracja jest czuła, ale nie cikliwa; zaangażowana, lecz nie histeryczna. To rzadki balans, który sprawia, że lektura nie tylko wzrusza, ale także pobudza intelektualnie.

Ważnym dopełnieniem albumu jest rozmowa z **Dariuszem Chmielewskim, Pomorskim Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków**, zatytułowana znamienne: „*Zabytków bronić do upadłego*”. To manifest, ale i rachunek sumienia – społe-

czeństwa, które nie potrafi lub nie chce chronić tego, co najcenniejsze. Album staje się w tym kontekście nie tylko zapisem, lecz także apelem: o uwagę, o wrażliwość, o odpowiedzialność za to, co dziedziczymy – nie tylko materialnie, ale kulturowo i duchowo.

„Podwory” to książka, która nie podsuwa łatwych wzruszeń. To album do powolnego smakowania, do przesiadywania nad każdą stroną. Dla historyków – źródło i świadectwo. Dla miłośników fotografii – lekcja światła i kompozycji. Dla wszystkich wrażliwych – przestrzeń refleksji nad tym, co znika, zanim zdążymy to zauważyć.

To nie tylko podróż w przeszłość. To także lustro – w którym możemy zobaczyć naszą teraźniejszość i nasz stosunek do śladów.

Lektura obowiązkowa dla wszystkich, którym bliska jest idea pamięci miejsca.

Urszula Markowska-Merecka

„Podwory. Martwa architektura Pomorza”

Autorzy: Michał Piotrowski, Marcin Tymiński

Wydanie: twarda oprawa, ponad 300 stron

Dostępny w księgarniach i sprzedaży internetowej

Zawsze byłam dziewczyną ze Słupska

O Słupsku do którego warto wracać i warto go pokochać. Z Jolantą Brzozowską rozmawiała Urszula Markowska-Merecka.

Urszula Markowska-Merecka:
Słupsk to dla Ciebie...?

Jolanta Brzozowska: To miasto, w którym nauczyłam się, że tramwaj to nie tylko pojazd, ale również pojęcie czysto abstrakcyjne. To historia moich dziadków – przesiedleńców, którzy nigdy nie przestali tęsknić za domem na Wileńszczyźnie. To dom rodzinny, dzieciństwo, pierwsze wakacyjne miłości – do świeżego powietrza i malin sprzedawanych z koszyka przez panią przy targowisku. Nic się nie zmieniło od czterdziestu lat. No, może poza tym, że dziś odwiedzam już nie rodziców, tylko ich groby. Czas płynie, ale miłość zostaje. I nie pytajmy za co – bo to miłość bezwarunkowa, jak do kota, który właśnie zdewastował ci nową kanapę. Czasem siadam z kawą przy Nowobramskiej i myślę: „Udało się. Wróciłam. A Słupsk dalej stoi. I to jest największy sukces tego miasta”.

UMM: Wyjechałaś, zrobiłaś karierę, prowadziłaś dużą firmę. A jednak wciąż mówisz o sobie: dziewczyna ze Słupska. To brzmi trochę jak manifest.

JB: Bo to jest manifest. Wyszłam za mąż w 1986 roku. PRL śnił już swój ostatni sen, a my spaliśmy z paszportami pod poduszką. Najpierw Warszawa, potem Londyn, chwilę później – prawie Ameryka. Ale jak tylko Polska się obudziła z tego snu – wróciliśmy. Świadomie. Patriotycznie. I, jak się okazało – nieco naiwnie.

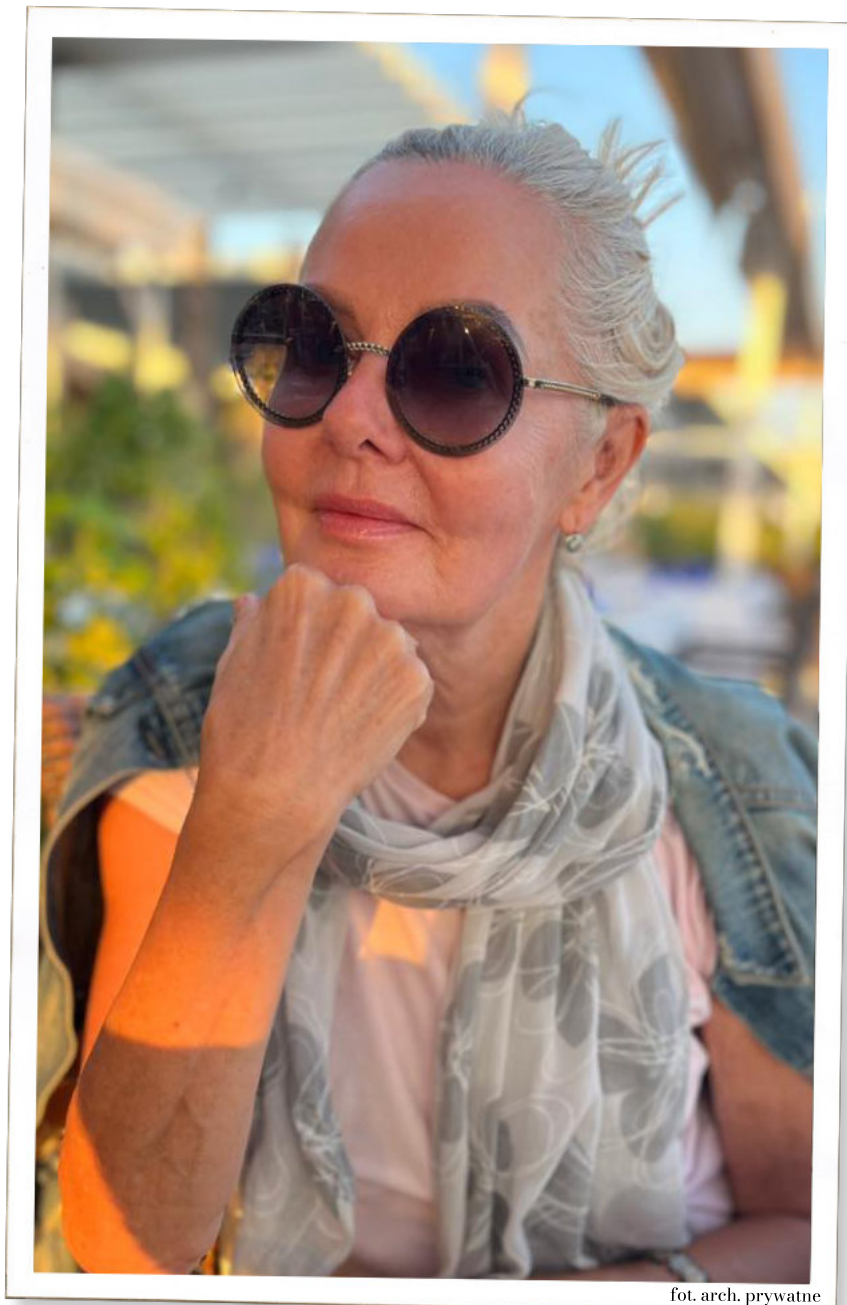
Założyliśmy firmę Zext. Brzmi groźnie? I dobrze. To była struktura z rozmachem: produkcja w Chinach

(kiedy Chiny nadal kojarzyły się głównie z Mao), własna marka, kontenery, logistyka, projekty dla dużych sieci. Byłam prezeską, szefową i silnikiem napędowym – wszystko w jednym, bez taryfy ulgowej i bez kadry menedżerskiej z TikToka. Zext był jedną z trzech największych firm w swoim segmencie w kraju. Tak, wiem – Słupsk się o tym nie dowiedział. Może dlatego, że w Polsce

sukces prywatny to nie powód do dumy, tylko do plotki.

UMM: Czyli świat zdobyłaś, a potem przyszła refleksja: a może jednak Słupsk?

JB: Dokładnie tak. Najpierw pojawiło się marzenie, żeby nie tylko zarabiać, ale też oddawać. Kupiliśmy Pałac w Patrykozach – dziewiętnasto-



fot. arch. prywatne



wieczną perelkę. Ruina? Oczywiście. Ale jak już się zakochasz w ruinie, to trudno potem żyć w deweloperskim apartamencie z widokiem na parking.

Odbudowaliśmy pałac od fundamentów po sztukaterię. Potem był Małuszów. Znowu gruz, grzyb i genius loci. Wszystko z własnej kieszeni – bo jak mówi stare przysłowie: „Polak potrafi, ale urzędnik zapyta: po co?”.

W Słupsku też próbowaliśmy. Szukaliśmy zabytku do uratowania. Ale odbiliśmy się od muru. Zimnego, betonowego, opatrzonego pieczęcią „do rozpatrzenia w terminie 14 dni roboczych”. Takich, co nigdy nie nadchodzą.

UMM: A dziś jesteś z powrotem. Ale nie tylko po to, by pić kawę.

JB: Emerytura to stan ducha, nie wyrok. Od lat propaguję ayurwedę, jeżdżę do Indii, ćwiczę jogę, oddycham głęboko i nie reaguję na absurdy – przynajmniej nie od razu.

A Słupsk? Byłam tu zawsze – duchem. Wspierałam finansowo Muzeum, IV LO, w czasie pandemii – szpital. Teraz jestem babcią i bardzo chcę, żeby moja wnuczka poznała to miasto. Bo Słupsk, choć czasem

przypomina zatroskanego emeryta, ma w sobie potencjał na drugą młodość – taką z muzyką, kwiatami i dobrze zrobionym espresso.

Kupuję pomidory w warzywniaku, zapraszam znajomych z Warszawy na wegańskie carpaccio i pokazuję im Biały Spichlerz. A oni przecierają oczy: „To naprawdę Słupsk?”. Bo – mimo wszystko – potrafi zaskoczyć. I to w najlepszym stylu.

Coraz częściej słyszę, że młodzi szukają spokojnego miejsca do życia. Dlaczego więc nie Słupsk? Można dziś pracować zdalnie, a żyć – lokalnie. Bo mieszkanie z balkonem nie musi kosztować dwóch nerek, a ludzie na ulicy naprawdę mówią „dzień dobry”. I nie tylko mówią – są serdeczni, życzliwi, gotowi pomóc, zagadać, uśmiechnąć się bez powodu. To wcale nie jest takie oczywiste.

No i muzyka! Estrada Młodych na FPP, z nagrodą od naszej firmy – to mógłby być prawdziwy święty graal młodych talentów. Gdyby tylko ktoś to wykorzystał z wyobraźnią. Festiwal Komedy? Moi znajomi z Warszawy zjeżdżają tu co roku i są w szoku, że coś takiego w ogóle istnieje. Że nikt o tym nie mówi szerzej, że nie robi się z tego wizytówki miasta. A przecież tu jest potencjał – kulturalny, ludzki, artystyczny. Tylko trzeba przestać się go bać.

UMM: Ale Słupsk to chyba nie zawsze pozytywne zaskoczenia?

JB: Zdecydowanie nie. Kocham to miasto, ale nie jestem ślepa. Widzę brudne ulice, rozgrzebane inwestycje, dziury, które same proszą się o wpis do rejestru zabytków. Najbardziej boli rzeź drzew. Pamiętam aleje, które pachniały latem. Dziś przypominają defiladowe pustynie. I jeszcze ten brak ławek! Czy naprawdę tak trudno uwierzyć, że człowiek czasem chce po prostu usiąść? Moje bycie tutaj to też wyraz niezgody na małą politykę samorządową.

Ojciec nauczył mnie, że słowo ma wagę – i trzeba za nie odpowiadać. W Słupsku słów bez pokrycia mamy nadmiar. I rosnący deficyt szacunku ze strony władz wobec mieszkańców.

UMM: Czy znajdujesz dziś w Słupsku przestrzeń dla siebie?

JB: Oczywiście. Mam tu mieszkanie, inwestuję, mam przyjaciół, którzy są dla mnie jak złoto z Pomorza. Ostatnia kampania samorządowa otworzyła mi oczy: są tu ludzie mądrzy, z duszą, z pomysłami. Kochają to miasto – z przekory, a nie z obowiązku. Szkoda tylko, że nie zaprasza się ich do współpracy. Bo zadają pytania? Bo nie są „z układu”? Bo nie lubią wyborczej kielbasy? Ratusz woli ambitnych ludzi na odległość – najlepiej taką, z której można ich sukcesy przypisać sobie.

UMM: Co Cię najbardziej irytuje?

JB: To, że mamy ludzi, mamy pomysły – i brak systemowego wsparcia. Od lat rządzi jedna opcja. Radni? Raczej „bezradni”. Głosują tak, by nie było awantury. Demokracja jest – ale w wersji instant.

Promuje się imprezy ludyczne, bo tam nikt nie zadaje trudnych pytań. A można inaczej. Można stworzyć społeczny komitet, panel różnorodności, zaprosić artystów z wizją. Ale to wymaga odwagi. A w Ratuszu odwaga bywa rzadsza niż szynszyle w Parku Kultury i Wypoczynku.

UMM: Co najbardziej doskwiera Słupskowi?

JB: Brak młodych. Miasto się kurczy, starzeje, traci siłę. A przecież nie jesteśmy skazani na stagnację. Wystarczyłoby pomyśleć – ale łatwiej świętować festyn i podnieść podatki. Oferta dla rodzin? Symboliczna. Inwestorzy? Omijają Słupsk, bo nie mają tu z kim i dla kogo budować. Osiedla? Traktowane jak źródła dochodu podatkowego. Wieczorem

miasto zamiera – jakby ktoś wyłączył prąd. Brakuje tu wizji – a bez niej nawet najładniejsza latarnia świeci w próżnię.

UMM: Czy coś się w ogóle zmieniło?

JB: W Ratuszu – nie. To nadal piękny budynek z jeszcze piękniejszym brakiem pomysłów. Władza dzieli, rozdaje, odbiera – wedle uznania. A kto zada pytanie – ten podejrzany. System feudalny, tylko bez zamku i z gorszą pensją.

UMM: Słupsk – czy ma kompleks prowincji?

JB: Nie tyle ma, co go pielęgnuje z troską godną bonsai. To naprawdę piękne miasto. Z duszą. Ale zamiast się promować – tłumaczy się, że „nie wypada”.

Zamiast zachęcać – odstrasza. Strategiczne budynki już są w rękach prywatnych. Jeszcze chwila, a to biznes powie nam, czym ma być Słupsk. A przecież mamy wszystko: rozmiar 20-minutowy (czyli modnie, zdrowo i z klimatem), zaplecze kulturalne, rzekę, historię, Witkacego!

Tylko kto to pokaże światu?

UMM: Czy promocja miasta istnieje?

JB: Jeśli promocja miasta istnieje, to działa w trybie incognito – z talentem godnym służb specjalnych. Folderzy przypominają instrukcję obsługi pralki: wszystko niby działa, ale człowiek nic z tego nie rozumie. Kubki promocyjne? Odpadają po drugim myciu – dosłownie i w przenośni.

Gdzie są autorskie gadżety z pomysłem? Plakaty od lokalnych grafików, które chce się powiesić nad biurkiem, a nie schować do szuflady? Gdzie pasja, serce, szczypta dowcipu?

Bo tu nie chodzi o pieniądze – tu chodzi o wyobraźnię. A tej, niestety,

nie da się kupić w przetargu, ani ująć w tabelce z Excela. A przecież mamy się czym chwalić. Mamy kulturę, historię, ludzi z talentem i miasto, które nie jest anonimowe – tylko po prostu nieśmiałe.

Dlaczego więc traktujemy promocję jak temat tabu? Nie mówimy, nikt nas nie widzi – i nikt też niczego od nas nie wymaga. To taki idealny układ: zero presji, zero efektów.

Zawsze powtarzam, że trzeba się dzielić. To hasło chodzi za mną od lat. I wciąż jest aktualne.

Powinniśmy umieć dzielić się decyzjami, kulturą, historią i wszystkim, co mamy najlepszego – z dumą, nie z lękiem. Tymczasem w Słupsku mam czasem wrażenie, że wszystko jest „dla swoich” – a nie dla wszystkich. Jakby otwartość była zbyt ryzykowna, a wspólnota zbyt wymagająca.

A przecież prawdziwa duma nie boi się współdzielenia. Ani dobrych gadżetów.

UMM: Masz ochotę coś zrobić?

JB: Tak. I znam dziesiątki ludzi, którzy też mają. Wracają do Słupska – z Nowego Jorku, z Edynburga, z Sopotu. Z energią, z wiedzą, z kontaktami. Tylko nikt ich nie słucha. A ja? Marzę o otwartym Słupsku.

O targu na Rynku, o psach z domami, o seniorach z ogrodem. O mieście, które nie boi się rozmawiać. I nie wygania tych, którzy zadają pytania.

UMM: A gdybyś została prezydentką...?

JB: Byłoby ciekawie. Połowę pensji oddałabym na stypendia dla młodych twórców i pianistę na FPP. Wprowadziłabym Kartę Mieszkańca z realnymi korzyściami: transport, żłobki, ciepło bez dramatów. Rynek tętniłby kwiatowym targiem. Powstałby dom dla seniorów i zwierząt – z zielenią, opieką i szacunkiem.

Czynsze i przetargi komercyjne? Jawne. Zapraszałabym do współpracy ludzi z wizją – nie tych, co trzymają się stołka jak kot kaloryfera. Bo Słupsk ma potencjał. Trzeba go tylko... odważyć się uwolnić. A ci, którzy dziś się z tego śmieją, za pięć lat przecieraliby oczy. Bo przyszłość buduje się odważnie. A nie tylko „do następnych wyborów”.

UMM: Gdybyś miała nadać Słupskowi hasło reklamowe – takie prawdziwe, bez urzędniczego pudru – jak by brzmiało?

JB: Przyjeżdżajcie i wracajcie do Słupska. Wasze serca tu zostaną na zawsze.



fot. arch. prywatne



fot. Magda Tramer

TEATR W RUCHU DEKADA ZMIAN

*Trzydzieści premier, festiwal, edukacja
i nowa jakość dialogu z widzem.*

Gdy w 2015 roku obejmował stery Tęczy, postawił na różnorodność, nowoczesną dramaturgię i otwarcie na współczesność. Dziś, po dziesięciu latach, bilans tej dyrektorskiej dekady to nie tylko trzydzieści premier, w tym spektakle dla młodzieży i dorosłych, ale także autorski Festiwal Plastyki Teatrów Lalki i Formy, który na stałe wpisał się w mapę polskiego lalkarstwa. Tęcza stała się miejscem dialogu z widzem - nie tylko na scenie, lecz także w ramach Pracowni Edukacji Teatralnej, która zmieniła sposób kontaktu z młodą publicznością i nauczycielami. Pod jego kierunkiem Teatr odważnie odpowiadał na wyzwania współczesności - od cyfrowych projektów w czasie pandemii po rebranding i doposażenie sceny, które wyniosły Tęczę na nowy poziom artystyczny i techniczny. W rozmowie podsumowującej lata 2015–2025 dyrektor opowiada o tym, jak ewoluowała Tęcza, jakie lekcje przyniosły mu kryzysy ostatnich lat i dlaczego teraz najważniejsza jest zmiana perspektywy oraz świeży głos w kierowaniu teatrem.

Piotr Miercki: Swoją przygodę z Teatrem Tęcza zacząłeś 1 września 2015 r., kończysz po dwóch kadencjach - pełnych dziesięciu latach. Gdy dziś zamykasz gabinet, co widzisz jako największą różnicę między Teatrem Lalki Tęcza, który obejmowałeś, a tym, który zostawiasz - w zespole, repertuarze, publiczności i modelu zarządzania? Czy jest w tym jakaś symboliczna chwila, która uświadomiła Ci, że Tęcza jest już „innym” teatrem niż w 2015 roku?

Michał Tramer: Największa różnica jest niewątpliwie w repertuarze, w którym pojawiła się współczesna dramaturgia dla dzieci i młodzieży, często poruszająca aktualne tematy. W ogóle zwiększyła się liczba premier - łącznie, w ciągu ostatnich dziesięciu lat było ich trzydzieści. Pojawiły się sztuki dla starszych dzieci i młodzieży, a nawet widzów dorosłych. Rozwinęła się też edukacja teatralna - w Tęczy działa Pracownia Edukacji Teatralnej, etatowa pedagogka prowadzi po spektaklach rozmowy z widzami i opracowuje konsepty lekcji dopasowane do kon-

kretnych tytułów - według mnie to bardzo ważny aspekt działalności teatru skierowanego do młodego widza. Tęcza pojawiła się też na ogólnopolskich festiwalach i sama stworzyła festiwal, który stał się niezwykle ważny dla polskiego środowiska lalkarskiego.

Jeśli chodzi o zarządzanie, to nie uważam, że doszło do jakiejś wielkiej rewolucji, choć pewne zmiany były - udało mi się stopniowo zmniejszyć o połowę liczbę stanowisk kierowniczych. Staralem się też wsłuchiwać w głosy zespołu. Nie zawsze udawało mi się sprostać tym oczekiwaniom, ale parę oddolnych inicjatyw zostało zrealizowanych, jak „Dziób w dziób”, „Niesamowite przygody niesamowitych skarpetek”, „Instynkt - Zwierzo-kultura”, „Jajco” i kilka innych.

Udało się też doposażyć teatr, zwłaszcza jeśli chodzi o sprzęt oświetleniowy i nagłośnieniowy... projektory, dy-miarki itp. Dogoniliśmy ogólnopolskie standardy. To nie są rzeczy dostrzegalne na pierwszy rzut oka, ale bardzo istotne dla pracy teatru - wi-

zualnej jakości spektakli i komfortu pracowników.

Poza tym, mnóstwo drobiazgów - małych lecz istotnych, jak możliwość płacenia kartą, internetowa rezerwacja biletów, rebranding, remont teatru i pokoi gościnnych...

PM: W niedawnym podsumowaniu powiedziałeś, że „zmiany są potrzebne, bez nich nie ma rozwoju”. Jakie mechanizmy „zmiany” udało Ci się wbudować w instytucję - tak, by następca nie zaczynał od zera, lecz od ruchu?

Jak patrzysz na zmiany w kulturze Słupska w tym samym okresie - czy teatr pod Twoim kierunkiem wyprzedzał pewne trendy, czy musiał je gonić?

MT: Najważniejszą rzeczą jest chyba objęcie Tęczy współprowadzeniem przez Ministerstwo. To, oczywiście, nie tylko moja zasługa, bo choć pomysł wyszedł ode mnie, to wszelkie negocjacje musiały prowadzić władze miasta, a nie był to czas łatwy. Pomagałem na ile mogłem, przygotowując wnioski i szukając poparcia różnych instytucji, ale zawsze będę podkreślał zasługi Urzędu w tej kwestii. Zresztą wiem już, że od przyszłego roku dotacja ma zostać mocno zwiększona, co też pomoże mojemu następcy na starcie.

Uważam, że kultura w Słupsku stoi na bardzo wysokim poziomie, a mam porównanie, bo zanim tu trafiłem powłóczyłem się trochę po innych miejscach. Odbywa się tu wiele imprez, w tym sporo naprawdę wartościowych. Myślę, że gdyby policzyć liczbę wydarzeń kulturalnych na jednego mieszkańca, to Słupsk znalazłby się w czołówce kraju. To zasługa wspaniałych ludzi związanych z kulturą, dobrze przygotowanych, bo ta tradycja ciągnie się od dziesiątek lat. Czasami wręcz słyszałem, że Słupsk ma za dużo instytucji kultury. Dla mnie to absurd, bo czy można być zbyt kulturalnym? To właśnie kultura

stworzyła charakter tego miasta - stoi za wszystkim co w Słupsku dobre. Dlatego będę apelował do obecnych i przyszłych władz, aby o tę kulturę dbać i ją hołubić jak lokalne dobro naturalne.

PM: Pandemia wymusiła przeniesienie aktywności do sieci. Czego nauczyła Ciebie (i zespół) ta cyfrowa próba? Czy dziś teatr nadal wykorzystuje tamte narzędzia?

MT: To był bardzo trudny czas, który postawił przed nami zupełnie nowe wyzwania, ale poradziliśmy sobie z nimi naprawdę nieźle. Powstało mnóstwo ciekawych projektów, jak cykle filmów w ramach projektów: „Kluki z bliska” i „Szalona kuchnia Niedźwiedzia i Maszy”, a także „Śnieżka - komiks, musical” i sporo innych. To też mocno podbudowało markę naszego Teatru, bo gdy cała polska kultura przeniosła się do sieci, Tęcza zaistniała w niej całkiem nieźle. To wielka zasługa całego zespołu, wszyscy... no dobrze, zdecydowana większość pracowników włączyła się w te prace z ogromnym zaangażowaniem. Wiele z tych narzędzi poszło w odstawkę, kiedy wróciliśmy do normalnej, teatralnej pracy, ale myślę że w nas - członkach zespołu zostało coś bezcennego: poczucie, że wiele potrafimy, a jeśli nie potrafimy, to się nauczymy.

PM: Festiwal Plastyki Teatrów Lalki i Formy - od pomysłu po III edycję w 2025 roku. Jaką lukę w polskim lalkarstwie miał wypełnić ten projekt? Co zostaje w dorobku Teatru jako najcenniejsza spuścizna tego festiwalu?

Jakie było najtrudniejsze wyzwanie organizacyjne tego przedsięwzięcia?

MT: Faktycznie, formuła festiwalu trafiła w niszę. Musiałbym się cofnąć do narodzin samego pomysłu: zastanawiałem się kiedyś, co właściwie odróżnia współczesny teatr formy, co raz rzadziej sięgający po klasyczne techniki lalkarskie, od innych dzie-



fot. Z planu filmu Co on tutaj robi? Fundacji Zwierz

dzin teatru. Bo przecież różnica jest, wyczuwalna, intuicyjna, ale jednak. Coś w końcu sprawia, że nikt nie ma wątpliwości, iż „Szwejk” jest spektaklem formy, choć niewiele było w nim lalek. Próbowałem to sobie zdefiniować dla własnego porządku, aż doszedłem do wniosku, że jest to plastyka. Nie tylko ta dosłowna - scenografia, lalki, kostiumy, ale też plastyka ruchu... ekspresji... pewien rodzaj gry. A kiedy już to sobie ułożyłem, to pomyślałem, że warto pójść za ciosem i tak zrodził się pomysł na nasz festiwal. Zainteresowanie środowiska potwierdziło, że był to pomysł trafiony.

Najtrudniejszym wyzwaniem są warunki techniczne - budynek Tęczy nie spełnia już standardów dzisiejszego teatru formy. Nie zmieni tego żadne dostawianie podestów, usprawnienie czy doposażanie. Ta scena sprawdza się jeszcze przy klasycznych „parawanówkach”, ale brak kulis i możliwości wjechania na scenę z dużym elementem scenograficznym sprawił, że musieliśmy rezygnować ze

sprowadzenia kilku ciekawych przedstawień. Szczęśliwie mogliśmy skorzystać z gościnności naszych przyjaciół z Ronda i Nowego Teatru. A reszta? Cóż, jest to duży wysiłek dla tak małego zespołu, ale, jak widać, nie jest niewykonalny.

PM: W grudniu 2024 roku powiedziałeś w rozmowie w Radiu Gdańsk, że „to nie był łatwy rok”. Co dokładnie było najtrudniejsze? Finanse, organizacja, problemy z brakiem kadry? Bo wtedy faktycznie repertuar był okrojony.

MT: Mieliśmy wyjątkowego pecha - kilka osób z zespołu aktorskiego, a także techniki wyłączało na zwolnieniach lekarskich. To wywołało efekt domina - przesunięcie planów, odwoływanie spektakli, zmiana tytułów, to z kolei wpływa negatywnie na relacje z widownią, zmniejszenie frekwencji i, co za tym idzie, przychodów z biletów. Na dodatek inflacja, za którą nie nadążył wzrost dotacji. Podam dla przykładu, kiedy obejmowałem stanowisko w 2015 roku, Tęcza miała dotację około 1.300.000 rocz-

nie; pod koniec 2024, łączna dotacja z miasta i ministerstwa wynosiła 2.600.000. Niby dwa razy więcej, ale najniższa krajowa w 2015 wynosiła 1600 złotych brutto, a dzisiaj 4 666. Za tym idzie wzrost wszelkich możliwych opłat i usług. W efekcie musieliśmy wnioskować do ministerstwa i miasta o zwiększenie dotacji podmiotowej.

Na szczęście nasza prośba została pozytywnie rozpatrzona w obu przypadkach. Oczywiście, w planach finansowych na przyszły rok, które składałem do MKiDN wnioskowałem o zwiększenie dotacji. Teraz wiem, że miasto wynegocjowało jej zwiększenie, co bardzo mnie cieszy. Mam nadzieję, że inflacja nie będzie już tak szaleć jak w ostatnich latach i ta powiększona dotacja wystarczy Teatrowi na dłużej.

PM: 246 premier w historii teatru, w tym mnóstwo w ciągu Twojej kadencji. Gdybyś miał ułożyć osobisty kanon Tęczy 2015-2025 - jakie tytuły trafiłyby na podium?



fot. Magda Tramer

MT: Chyba nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. W swojej koncepcji konkursowej założyłem, że repertuar Tęczy powinien być możliwie najbardziej zróżnicowany, zarówno pod względem grupy wiekowej odbiorców, tematyki, jak i formy. Dlatego trudno mi dzisiaj porównywać te spektakle. Bo jak porównać klasyczną komedię dell'arte - „Osobliwe zdarzenie” ze „Szwejkem” gdzie reżyserka dokonała ciekawej reinterpretacji kanonu literatury, choć oba przedstawienia uważam za świetne. Jak porównać „NIEbo i dłoNIE” z „Terrą Incognita”, czy „Niedźwiedziem i Maszą”? Cóż, zdarzały się spektakle, które dość szybko „zeszły z afisza” i nie jest mi ich żal, jednak mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że jestem zadowolony z wielkości spektakli, które powstały w Tęczy za moich dwóch kadencji. Żal mi bardzo „Mistrza i Małgorzaty”, bo ten spektakl miał wyjątkowego pecha. Niedługo po premierze wybuchła pandemia, a kiedy zacząłem myśleć o jego wznowieniu wybuchła wojna w Ukrainie i nie było możliwe sprowadzenie, w celu wznowienia, rosyjskich realizatorów.

PM: Konkurs wyłonił następcę - Łukasza Molskiego. Jakie trzy rzeczy doradziłbyś mu zachować bez zmian, a które wymagają natychmiastowego przewartościowania?

MT: Gdybym zaczął mu doradzać, zaprzeczyłbym samemu sobie i swoim słowom, że zmiany w instytucji kultury są konieczne - są warunkiem rozwoju. Zmiana na stanowisku dyrektora jest po to, żeby przyszedł człowiek o innym spojrzeniu. Jeśli zaczął doradzać, to będę to mówił ze swojej perspektywy, a przecież właśnie o zmianę perspektywy tu chodzi.

Oczywiście zadeklarowałem Łukaszowi swoją pomoc i jeśli będzie jej chciał, to słowa dotrzymam, ale nie mogę mu sugerować kierunków rozwoju zgodnych z moją wizją. Oczywiście, widzę pewne swoje błędy i rze-

czy, które się nie sprawdziły i chętnie bym je teraz zmienił, ale te zmiany muszą być zgodne z programem nowego dyrektora, nie moim.

PM: W minionej dekadzie wprowadziłeś m.in. spektakle dla dorosłych, Pracownię Edukacji Teatralnej, nowe programy. Który z tych „eksperymentów” uważasz za najważniejszy dla przyszłości teatru?

MT: Trochę już na to odpowiedziałem w pierwszym pytaniu. Jestem bardzo zadowolony z działalności Pracowni Edukacji Teatralnej, która działa trochę jak „marka w marce” - stała się w pewnym sensie, samodzielnym projektem zespołu.

Cieszę się także z Festiwalu Plastyki Teatrów Lalki i Formy, bo jest to świetna okazja żeby słupskiej widowni pokazać najlepsze rzeczy dziejące się w polskich, i nie tylko polskich, teatrach, ale także daje możliwość zaprezentowania naszych osiągnięć przedstawicielom środowiska teatralnego. To znacząco podnosi prestiż naszego Teatru.

PM: Zanim trafiłeś do Słupska, byłeś związany z teatrami alternatywnymi i offowymi. Co z tamtych doświadczeń pomogło Ci w prowadzeniu Tęczy - a co musiałeś porzucić?

MT: Na pewno off nauczył mnie elastyczności, ciągłego poszukiwania środków finansowych i radzenia sobie w kryzysowych sytuacjach. Myślę, że to doświadczenie szczególnie przydało mi się w czasie pandemii. W teatrze offowym grałem, reżyserowałem, pisałem scenariusze, tworzyłem lalki i elementy scenografii a potem je montowałem. Sprawia to, że czasem łatwiej jest zrozumieć człowieka - „wejść w jego buty”. Nie jest dla mnie wstydem chwycić za miotłę, czy pomóc technicznym w noszeniu dekoracji, co z kolei przydało się przy objeździe w ramach „Teatr Polska”.

Jednak pewne różnice były dla mnie trudne do przeskoczenia. Teatr nie-

zależny cechuje pewien rodzaj poczucia wspólnoty - większej partycypacyjności. Tworzą go zwykle ludzie z wyboru, często z bagażem doświadczeń z innych teatrów. Są bardziej elastyczni, co sprzyja tzw. turkusowej organizacji pracy, która jest bardzo efektywna. W instytucji to właściwie niewykonalne, choć na pewnych płaszczyznach się sprawdziło - znowu przytoczę przykład Pracowni Edukacji. Jednak do teatru instytucjonalnego przychodzą też ludzie, którzy chcą tylko wykonać swoją pracę, a niekoniecznie podporządkować teatrowi całe swoje życie i to też należy uszanować. Wciąż dostaję drgawek kiedy słyszę „czemu ja mam to robić”, albo „to nie moje zadanie”, choć staram się te głosy zrozumieć.

PM: Czego nie zdążyłeś zrobić, a co chciałbyś jeszcze domknąć w przyszłości? Gdybyś miał napisać dzisiaj list do samego siebie: 3 zobowiązania wobec widzów, 3 wobec zespołu i 3 wobec siebie samego?

MT: Chyba znowu muszę się wymigać od odpowiedzi, bo będzie to brzmiało jak sugestia w stronę mojego następcy. Odpowiem częściowo. Żałuję, że nie zdołałem stworzyć muzeum lalek. Wiem, że miałoby wciągnąć, ale moje ambicje mnie przerosły i zwyczajnie brakło mi energii, zwłaszcza kiedy pojawiły się u mnie pewne problemy zdrowotne. Poza tym uświadomiłem sobie, że to wyłącznie moja „zajawka” i chyba nie mam prawa obarczać nią pozostałych pracowników.

Staralbym się też wywalczyć dla Tęczy nową siedzibę. Ten Teatr na nią zasłużył, i zasłużyli na nią jego widzowie. Niestety, w tej kwestii sam dyrektor niewiele może zdziałać.

A wobec siebie? Odpocząć. Dać sobie spokój z zarządzaniem ludźmi, przynajmniej na jakiś czas. Podreperować zdrowie.

Piotr Merecki



Opowiem Ci dom

Opowiem Ci dom. Opowiem historię miejsca, które, choć schowane za drzewami w parku, tętni życiem. Miejsca, w którym historie codziennie się tworzą – rysowane przez mieszkańców, przez tych, którzy tu pracują, i przez każdy drobny gest, który w tej przestrzeni ma swoje miejsce. To Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Nie znajdziesz tu zimnych ścian ani sterylnych korytarzy – znajdziesz coś, co sprawia, że to miejsce jest pełne ciepła – nie tylko w sensie fizycznym, ale przede wszystkim emocjonalnym.

Mieszkańcy tego domu, ich historie, ich życie, są jak farby na płótnie, które każdego dnia tworzą coś nowego. 112 osób, z różnymi doświadczeniami, z różnymi barwami swoich dni, a jednak połączonych tym samym miejscem – domem, w którym mogą żyć w pełni, mimo że ich życie czasami nie jest łatwe. Domu, w którym ich obecność ma wartość, a ich historie – choć różne – są częścią większej opowieści. Opowieści, która od 25 lat snuje się w Lubuczewie.

I to nie tylko mury tworzą ten dom, choć te mury są pełne ciepła, przytulności i spokoju. To mieszkańcy i personel, którzy budują atmosferę zrozumienia, otwartości i szacunku. Lubuczewo to społeczność, która



razem tworzy przestrzeń, w której każdy człowiek, bez względu na swoje trudności, może poczuć się pełnoprawnym członkiem tej wspólnoty. To miejsce, w którym każdy gest – od pomocy przy codziennych obowiązkach po wspólne śmiechy i rozmowy – jest częścią większej historii.

I ta historia trwa każdego dnia. Bez względu na to, co przyniesie życie, w Lubuczewie każdy może na nowo opowiedzieć swoją historię – tę, którą rysuje z dnia na dzień. W tym domu nie chodzi tylko o opiekę, ale o życie – życie pełne, wartościowe i szanowane.

Dom ten powstał w 2000 roku, ale jego historia zaczęła się znacznie wcześniej – w 1993 roku, kiedy to powstała idea miejsca, które będzie dawać poczucie bezpieczeństwa tym, którzy go potrzebują najbardziej, osobom z zaburzeniami psychicznymi. I choć od tamtego czasu minęło ćwierć wieku, wciąż jest tu ten sam cel: zapewnić komfort, ciepło i miejsce, w którym każdy może poczuć się jak u siebie.

Ale Lubuczewo to nie tylko opieka. To również śmiech na korytarzach, rozmowy przy herbacie, spacer po parku, a codzienność wypełniają zajęcia, terapia, rehabilitacja oraz zabawy i wycieczki, które umilają czas. Bo co to za dom, w którym nie ma radości? Nie ma nic bardziej mylnego niż wyobrażenie, że życie z zaburzeniami psychicznymi to wyłącznie smutek i cisza. Lubuczewo, choć pełne troski, nie daje się wciągnąć w ponure schematy. To miejsce, gdzie wszyscy mają prawo do radości – bo i dlaczego nie?

Pierwsza dyrektorka, pani Marianna Kawiecka oraz obecna dyrektorka Monika Bill priorytetem swojej misji uczyniły stworzenie w tym miejscu atmosfery domu, która sprawia, że mieszkańcy czują się tu dobrze. Pani Monika nie boi się wyzwań i potrafi wprowadzać nowe pomysły, które wzbogacają życie codzienne. A to nie jest małe osiągnięcie, zwłaszcza w tak wymagającej pracy.

Lubuczewo to przykład, że zaburzenia psychiczne to nie wyrok. To tylko część czyjejś historii, którą można napisać w sposób pełen nadziei. Jubileusz 25-lecia to doskonały moment, by zatrzymać się na chwilę i docenić to, co osiągnięto.

Ale też by pomyśleć o przyszłości. Bo mimo tych wszystkich lat, Lubuczewo wciąż ma przed sobą wiele do zrobienia. I dobrze, bo kto by chciał żyć w miejscu, które poprzestaje na osiągnięciach z przeszłości? Zamiast tego, mieszkańcy i personel Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie czekają na kolejne wyzwania i... kolejne śmiechy na korytarzach.

25 lat to czas, by dziękować tym, którzy stworzyli to miejsce. Ale to także czas, by zauważyć, jak wielką wartość ma opieka, która daje nie tylko bezpieczeństwo, ale również przestrzeń do życia w pełni.

W końcu, jak powiedział ktoś mądry: „*Życie to nie problem do rozwiązania, lecz rzeczywistość do doświadczenia*”. A w Lubuczewie doświadcza się jej pełną piersią – z każdym dniem, z każdą historią, która zaczyna się na nowo.



fot. arch. DPS Lubuczewo



**NIEUZGODNIONA PRZYSZŁOŚĆ:
ANATOMIA KONFLIKTU
O GRANICE SŁUPSKA**

Wystarczy jedna decyzja Rady Ministrów, by zmienić komuś gminę. Bez referendum. Bez ścieżki odwoławczej. Bez obowiązku słuchania mieszkańców. Nie potrzeba głosu wspólnoty, nie liczy się jej wola ani historia miejsca. To nie scenariusz dystopii. To Polska w roku 2025 i historia Włynkówka, które ostatecznie nie zostało wchłonięte przez Słupsk. Tym razem.

Bo choć decyzja Rządu z 31 lipca przyniosła ulgę i satysfakcję, nikt w gminie Redzikowo nie traktuje jej jako gwarancji trwałości. Włynkówko zostało obronione ale za cenę miesięcy mobilizacji, ekspertyz, argumentów, napięcia. I świadomości, że wszystko może wrócić w kolejnym wniosku, kolejnej uchwale, kolejnym sezonie walki o cudzy grunt.

Jak mówi Barbara Dykier, wójt gminy Redzikowo: „To sukces, z którego naprawdę się cieszymy i mieszkańcy mają do tej radości pełne prawo. Ale jest to także doświadczenie bardzo uczące. Bo nie walczyliśmy z miastem, walczyliśmy o wartość wspólnoty, o konsekwencję planowania, o sprawiedliwość. Przez lata inwestowaliśmy w ten teren nie dla prestiżu, ale po to, by służył lokalnej społeczności. Taka praca nie dzieje się z dnia na dzień. Dlatego decyzja Rady Ministrów to nie prezent, to uznanie naszej racji i naszej pracy. Ale też przestroga, że zaufania między samorządami nie buduje się jednostronnym żądaniem. A rozwój nie może oznaczać zabierania innym owoców ich własnych wysiłków.”

Tym razem się udało. Ale gmina Redzikowo - podobnie jak wiele innych w Polsce - żyje dziś ze świadomością, że system, który pozwala jednym samorządom sięgać po cudze terytorium bez realnego dialogu, pozostawia innych w stanie ciągłej obrony. A to nie jest klimat, w którym rodzi się współpraca. To nie jest przestrzeń dla zaufania.

BO NIE CHODZI TYLKO O GRANICE NA MAPIE. CHODZI O GRANICE PRZYŻWOITOŚCI.

Włynkówko pozostało w granicach gminy Redzikowo. Ale jeśli coś naprawdę powinno zostać ocalone, to nie tylko linia geodezyjna lecz sens samorządności. Partnerstwo to nie jest układ sił. Rozwój nie może oznaczać grabieży. A demokracja lokalna nie powinna być farsą, w której głos społeczności znaczy mniej niż narracja o „aspiracjach rozwojowych”.

Gmina Redzikowo wygrała, ale nie triumfuje. Bo wie, że prawdziwe zwycięstwo przyjdzie dopiero wtedy, gdy system zacznie chronić wspólnoty, a nie tylko wskaźniki. Gdy kreski nie będą przesuwane według woli silniejszego.

I gdy partnerstwo wreszcie zacznie znaczyć tyle, co wspólna odpowiedzialność.

Tymczasem mieszkańcy - ci, których głos dotąd pomijano - nadal czekają, by w państwie prawa ich zdanie naprawdę zaczęło się liczyć.

KTO KOMU ZABRAŁ GMINĘ?

Wyobraźmy sobie kraj, w którym można przesunąć granice gminy z dnia na dzień - bez konsultacji, bez referendum, bez sądu. Gdzie nie istnieje żadna realna kontrola politycznej decyzji. Problem w tym, że nie trzeba sobie tego kraju wyobrażać. On istnieje. To Polska, rok 2025.



fot. arch. UG Redzikowo

Tu nie chodzi o jałowe pola. Tu chodzi o ludzi. O realne majątki, zobowiązania, inwestycje, kredyty, podatki i szkoły. O przyszłość społeczności, które przez lata budowały swoje gminy kawałek po kawałku.

Historia prób rozszerzenia granic Słupska zaczęła się w 2008 roku i wraca co kilka lat niczym sen wariata. W 2023 roku, po licznych protestach, Miasto włączyło do siebie ok. 900 ha, w tym najlepiej przygotowane tereny inwestycyjne regionu: Płaszewko i część Strzelina. Gmina Redzikowo (dawniej: Słupsk) straciła grunty, które wcześniej dostała w ramach rekompensaty za lokalizację tarczy antyrakietowej. Zainwestowano w nie unijne środki, kredyty, pracę urzędników. Firmy się pojawiły. Podatki zaczęły płynąć. A potem - cyk - obszar przeszedł do Słupska. Dochody przeszły z budżetu wiejskiego do miejskiego. Długi i odpowiedzialność zostały po stronie Gminy.

Tyle że na tym nie koniec.

WŁYNKOWO: KOLEJNA ODSŁONA

Pod koniec 2024 roku Słupsk znów wystąpił z wnioskiem o zmianę granic. Tym razem chodziło o 149 hektarów strategicznych gruntów we Włynkówku, objętych Specjalną Strefą Ekonomiczną. Dla Miasta to kolejna szansa na rozwój. Dla Gminy Redzikowo kolejna próba przejęcia efektów wieloletniego planowania i inwestowania. Decyzja miała zapaść w połowie 2025 roku. I mogła jak każda w tej sprawie, być ostateczna i nieodwołalna.

Wbrew zgłaszanym przez Gminę argumentom i mimo jednoznacznego sprzeciwu lokalnej społeczności, Beata Rutkiewicz, wojewoda pomorska zaopiniowała wniosek pozytywnie. W uzasadnieniu pojawił się kluczowy i zdaniem Gminy całkowicie nietrafiony argument o „spójności funkcjonalnej” tego obszaru z miastem Słupsk.

Tyle że Włynkówko nie stanowi ani funkcjonalnej, ani planistycznej całości z Miastem. Oddzielone fizycznie drogą krajową nr 6 i drogą publiczną gminną, pozbawione bezpośrednich powiązań komunikacyjnych, nieprzylączone do miejskich sieci, to teren, który nie powstał jako naturalne przedłużenie Miasta, lecz został przez dekadę formowany przez Gminę Redzikowo: planistycznie, inżynierijnie i finansowo. Teren uzbrojony, opłacony z budżetu gminy, obciążony długiem, który gmina nadal spłaca.

Blisko 50 hektarów z tych 149 to grunty rolne, które nadal zachowują funkcję rolną w obowiązujących planach zagospodarowania przestrzennego. „Przemysłowość” tego obszaru jest wyłącznie efektem działań samorządu gminnego, nie miejskiego. Miasto nie miało z tą przestrzenią nic wspólnego. A jednak próbowało ją przejąć.



fot. arch. UG Redzikowo

Co więcej - żadna propozycja porozumienia ze strony Miasta nigdy nie padła. Nie było rozmów, nie było dialogu, nie było poszanowania samorządowej odrębności. Wniosek nie został nawet omówiony w ramach Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego, co stanowi rażące odstępstwo od dotychczasowej praktyki.

Dla Gminy Redzikowo stawką była nie tylko przestrzeń, ale i stabilność. Szacowane straty roczne w dochodach - ponad 5 milionów złotych - mogły zachwiać budżetem i zagrozić ciągłości inwestycji. Zwłaszcza że już w 2022 roku Redzikowo straciło niemal 1000 ha, w tym obszar przekazany wcześniej jako rekompensata za lokalizację bazy antyrakietowej.

W tym kontekście decyzja Rady Ministrów z 31 lipca 2025 roku, która odrzuciła wniosek Słupska i pozostawiła Włynkówko w granicach Gminy Redzikowo, była nie tyle sukcesem, co chwilą ulgi. Kolejną bitwę udało się wygrać.

Jak ujęła to Barbara Dykier, wójt Gminy Redzikowo: „Samorządność to nie jest dekoracja do mapy, ale zasada ustrojowa. Przez lata inwestowaliśmy w te tereny nie po to, by pewnego dnia obudzić się bez nich - tylko dlatego, że większy sąsiad uznał je za przydatne. Władza, która ignoruje głos mieszkańców i nie liczy się z wysiłkiem lokalnej wspólnoty, traci moralny mandat. A partnerstwo, którego podstawą powinno być zaufanie, zamienia się w mechanikę siły. To nie jest droga do rozwoju, lecz do konfliktu.”

Wypowiedź wójta Dykier - spokojna, wyważona, ale trafiająca w sedno, dobrze oddaje nastrój społeczny w Gminie. Bo nawet jeśli tym razem udało się zatrzymać zmianę granic, to atmosfera presji, politycznego szantażu i niepewności stała się tu codziennością.

Włynkówko nie zostało przejęte. Ale coś zostało naruszone - relacje, zaufanie, zasady gry. I niełatwo będzie to odbudować.

BEZ KONSULTACJI, BEZ SĄDU, BEZ GŁOSU

W 2022 roku Słupsk wystąpił z wnioskiem o przejęcie aż siedmiu sołectw, niemal 6 tysięcy hektarów i ponad 7 tysięcy mieszkańców. Gmina, dziś już Redzikowo, zorganizowała wtedy konsultacje społeczne. Wzięło w nich udział ponad 80% uprawnionych, a ponad 99% z nich jasno wyraziło sprzeciw. To powinien być wzorcowy przykład działania lokalnej demokracji: frekwencja, obywatelska odpowiedzialność, społeczny mandat. W praktyce okazało się, że ich głos nie miał żadnej mocy prawnej. Nie tylko nie zaważył na decyzji nie był nawet brany pod uwagę jako warunek konieczny.

Bo obowiązujące w Polsce prawo w takich sytuacjach nie wymaga ani zgody mieszkańców, ani przeprowadzenia referendum. Nie przewiduje sądowej ścieżki odwoław-

czej. Nie zobowiązuje do żadnego dialogu, nie nakłada obowiązku porozumienia. Nie wymaga dowodów na realną funkcjonalną więź, a jedynie narracji o „potrzebie rozwoju”.

Taki proces przypomina raczej egzekucję niż negocjację - decyzja Rady Ministrów ma charakter natychmiastowy, niepodważalny i nieodwracalny. W praktyce: kreska na mapie zmienia się w dekrecie i staje się rzeczywistością, której nie da się już cofnąć. A razem z nią przesuwają się miliony złotych z podatków, przechodzą szkoły, sieci kanalizacyjne, drogi, zobowiązania finansowe, a czasem całe plany rozwoju wspólnot, które właśnie utraciły kawałek własnej przyszłości.

W tym modelu samorządność kończy się dokładnie tam, gdzie zaczyna się „aspiracja rozwojowa” większego gracza. Im większe miasto, tym silniejsze jego roszczenie do terytoriów wokół. Im lepiej przygotowana gmina, tym bardziej łakomym kąskiem staje się dla administracyjnej aneksji. A im bardziej lokalna społeczność próbuje się bronić, tym łatwiej zarzucić jej „irracjonalność”, „brak wizji” i „opór wobec postępu”.

To nie demokracja, lecz jej imitacja. Formalnie - wszystko odbywa się zgodnie z procedurą. Zasadniczo - odbywa się wbrew logice wspólnoty lokalnej, wbrew podmiotowości mieszkańców i wbrew zasadzie, że terytorium samorządu nie jest majątkiem, którym można handlować jak pakietem inwestycyjnym. Bo gmina to nie działka ewidencyjna, tylko żywa struktura społeczna, ekonomiczna i kulturowa - z historią, ciągłością, odpowiedzialnością i planami, które nie powinny zależeć od apetytu sąsiada.

GAPOWICZE I INNE MITY MIEJSKIE

W arsenale retorycznym słupskich władz znalazło się ostatnio określenie, które robi karierę szybszą niż niektóre miejskie inwestycje: „pasażerowie na gapę”. W ten sposób nazywa się mieszkańców gmin ościennych - przede wszystkim Redzikowa - którzy rzekomo mają czelność korzystać z miejskich szkół, dróg, autobusów i bibliotek... bez zapłaty. To nośne hasło. Chwytlive.

I całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Bo prawda, choć znacznie mniej spektakularna, jest zapisana czarno na białym. W 1999 roku miasto Słupsk i ówczesna gmina Słupsk (dziś Redzikowo) zawarły formalne porozumienie międzygminne. Na jego mocy mieszkańcy gminy uzyskali pełny dostęp do usług publicznych w Słupsku, a gmina zobowiązała się partycypować w kosztach utrzymania infrastruktury i edukacji. Porozumienie obowiązuje do dziś. Nikt go nie wypowiedział. I nikt nie odwołał jego skutków.

Miasto chętnie korzysta z efektów tych ustaleń - wspólnych sieci, wspólnego transportu, wspólnych systemów

gospodarki wodnej. Ale w publicznej narracji porozumienie nie znika. Jakby nie istniało. Jakby Redzikowo rzeczywiście nie płaciło za uczniów, nie współfinansowało inwestycji, nie wносиło wkładu. Znika prawda - zostaje mit. W dodatku wygodny, bo budujący podział na „nas” i „onych”. Na „gospodarzy” i „gapowiczów”.

„Mówią o nas, jakbyśmy jeździli na krzywy bilet” - mówi wójt gminy Redzikowo, Barbara Dykier. „Tymczasem nie tylko płacimy za kursy, ale czasem dokładamy do torów. To porozumienie nie jest prezentem. To cywilizowany kompromis - który dziś udaje się wymazać jednym zdaniem konferencji prasowej.

Nie wiem, co boli bardziej: to, że się go nie respektuje, czy to, że udaje się, iż nigdy nie istniało. A przecież na nim zbudowaliśmy lata dobrej współpracy.”

Właśnie ten paradoks boli najbardziej: miasto korzysta z ustaleń porozumienia, którego istnienie jednocześnie publicznie neguje. Słowa o „gapowiczach” padają z ust tych, którzy do dziś korzystają z gruntów przekazanych przez gminę, z ujęć wody w Redzikowie, z sieci przesyłowych zbudowanych dzięki planom i funduszom samorządu wiejskiego. Prawda wygląda raczej odwrotnie: to miasto podróżuje na bilecie, który gmina kupiła wcześniej... i z ulgą.

W tej sytuacji zasadne staje się nie pytanie, „czy Redzikowo płaci”, lecz: dlaczego milczymy o tym, że płaci od 25 lat?

MORATORIUM? NIE TYM RAZEM

W obliczu coraz częstszych sporów o granice gmin, apel Rzecznika Praw Obywatelskich o moratorium na zmiany terytorialne był jak głos rozsądku w rozszalałym gmachu administracyjnych interesów. Rzecznik wskazywał jasno: dopóki nie zostaną uchwalone nowe, sprawiedliwsze zasady, dopóki gminy nie mają prawa do realnego sprzeciwu, a mieszkańcy do głosu wiążącego, każda decyzja o zmianie granic może być głęboko krzywdząca.

Proponowane przez MSWiA zmiany - ograniczenie liczby wniosków do jednego na kadencję, obowiązek konsultacji i system rekompensat - są krokiem w dobrym kierunku. Ale tylko na papierze. Projekt nie trafił jeszcze do Sejmu, a rząd moratorium nie uznał - decyzje nadal zapadają w oparciu o stare, asymetryczne procedury. Władza wykonawcza zachowała prawo do natychmiastowego, jednostronnego rozstrzygania sporów terytorialnych. Wciąż bez referendum. Bez sądu. Bez obowiązku słuchania społeczności lokalnych.

Tymczasem Związek Miast Polskich nie tylko nie podziela tej ostrożności, ale przeciwnie - postuluje przyspieszenie procedur zmian granic, „unowocześnienie” procesów,

a wręcz „uwolnienie” rozwoju miast od „barier emocjonalnych”. Język, w którym wiejskie samorządy przedstawiane są jako nieprzystosowane, reakcyjne i zbyt przywiązane do przeszłości, zdaje się być bardziej PR-em niż argumentem. W tej narracji gmina, która nie chce oddać wypracowanego przez lata terenu, to nie partner, tylko hamulec.

Na drugim biegunie stoi Związek Gmin Wiejskich RP, który od lat wskazuje, że procedury zmian granic gmin nie zapewniają ani przejrzystości, ani równych szans. Gminy wiejskie nie mają dostępu do tego samego „mikrofonu”, co miasta. Nie mogą liczyć na równie silne lobby polityczne czy medialne wsparcie. Dlatego ZGW RP postuluje uregulowanie procesu, w którym głos lokalnych społeczności będzie miał realną wagę, a samorządy - zamiast walczyć - będą rozmawiać.

Bo dziś, jak pokazuje przypadek Włynkówka, zamiast współpracy mamy strategię faktów dokonanych. A zamiast zrównoważonego rozwoju - stan permanentnej obrony.

Barbara Dykier, wójt gminy Redzikowo, komentuje to wprost: „Nie chodzi o to, by zatrzymać rozwój miast, tylko o to, by rozwój nie odbywał się cudzym kosztem i bez zgody tych, których bezpośrednio dotyczy. Samorządność to nie tylko zarządzanie terenem - to odpowiedzialność za ludzi, za procesy, za przyszłość. Dlatego nie możemy uznać systemu, który pozwala większemu wziąć, co chce, tylko dlatego, że może. Gmina to nie jest magazyn z zapasami, z których miasto uzupełnia sobie braki. To wspólnota. I to wspólnoty trzeba dziś chronić - także przed prawem, które tego nie robi.”

Tym bardziej więc, w świetle odrzuconego moratorium, głos Rzecznika Praw Obywatelskich powinien wybrzmieć z całą siłą. Bo jeśli nie teraz - to kiedy? Jeśli nie w obronie realnych ludzi, miejsc i inwestycji - to w obronie czego?

GRANICE ZAUFANIA

Granice gmin to nie tylko kreski na mapie. To linie odpowiedzialności - za ludzi, za przestrzeń, za przyszłość. To architektura zaufania, która nie powstaje w zaciszu gabinetów, lecz w długim procesie współpracy i wzajemnych zobowiązań. Gdy przesuwamy je bez dialogu, bez zgody, bez refleksji - naruszamy coś więcej niż status administracyjny. Naruszamy fundament wspólnoty.

Decyzja Rady Ministrów z 31 lipca 2025 roku, zgodnie z którą Włynkówko pozostaje w granicach gminy Redzikowo, przyniosła ulgę i satysfakcję. Ale nie dała poczucia bezpieczeństwa. Bo skoro raz można było spróbować - można spróbować znów. Skoro głos mieszkańców i argumenty samorządu nie mają mocy wiążącej i każda kolejna

decyzja może być już tylko kwestią politycznej koniunktury.

To nie jest klimat, w którym rodzi się współpraca. To nie jest przestrzeń, w której rozkwita partnerstwo. To nie jest sytuacja, w której mniejsze wspólnoty mogą planować swoją przyszłość z ufnością, że nikt im jej nie przekreśli jednym podpisem.

Dlatego dziś - poza ulgą - pozostaje także stanowczość.

Gmina Redzikowo nie zakończyła walki o swoje granice. Zaczęła kolejny etap: walkę o zmianę przepisów, które dziś pozwalają przesuwac administracyjne granice z pominięciem głosu obywateli i logiki współodpowiedzialności. Prace legislacyjne muszą ruszyć z miejsca. Bez gwarancji ustawowych żadna gmina nie może być spokojna. A bez jasnych reguł - nie ma mowy o sprawiedliwym rozwoju.

W tym kontekście głos Rzecznika Praw Obywatelskich o wprowadzenie moratorium nie jest fanaberią - to jedyny głos rozsądku w chaosie kompetencyjnego przeciągania liny. Rząd nie przyjął tego postulatu, ale powinien. Bo jeśli nie zatrzymamy się dziś, jutro może być za późno - nie dla jednej gminy, ale dla całego systemu samorządowego.

I dlatego wybrzmieć musi także głos tych, którzy tej walki doświadczyli osobiście.

Barbara Dykier, wójt gminy Redzikowo: „To sukces, z którego cieszymy się jako społeczność - ale to radość pełna ostrożności. Bo wiemy, ile kosztowało nas to, by ochronić coś, co buduje się latami: infrastrukturę, planowanie przestrzenne, więź lokalną. Decyzja Rady Ministrów to nie dar, tylko uznanie naszych argumentów i naszej konsekwencji. Ale nie zapominamy, że ten sam system prawny, który dziś nas ocalił, jutro może nas zignorować.

Dlatego nie ustaniemy w staraniach o zmianę prawa. Bo w Polsce XXI wieku żadna gmina nie powinna być stawiana wobec przymusowego odebrania jej terytorium - bez referendum, bez dialogu, bez prawa głosu. Samorządność musi znaczyć więcej niż uznaniowość większego nad mniejszym.”

Granice Włynkówka nie zostały przesunięte. Ale granice zaufania - już tak. Jeśli państwo nie odbuduje ich świadomie, w duchu sprawiedliwości i równości - kolejne mapy administracyjne będą pisane nie przez obywateli, ale przez ambicje.

A wtedy pytanie nie będzie brzmiało: kto komu zabrał gminę? Tylko: kto komu odebrał prawo do decydowania o swoim miejscu na ziemi.



fot. arch. UG Redzikowo

Utrata Bolesławic

KROK KU PODZIAŁOWI, NIE WSPÓŁPRACY



fot UM Kobylnica

Decyzja o przyłączeniu Bolesławic do Słupska to nie tylko administracyjna zmiana granic. To punkt zwrotny, który może zdefiniować nowe standardy w relacjach samorządowych w Polsce, stanowiąc test dla jakości decyzji podejmowanych przez władze centralne.

Choć władze Słupska ogłaszają sukces rozwoju, mieszkańcy Bolesławic oraz samorządowcy Kobylnicy odczuwają, że to raczej początek podziału, niż budowania mostów porozumienia. Jak ta decyzja wpisuje się w szerszy kontekst polityki terytorialnej w Polsce?

Co może oznaczać dla przyszłości polskiego samorządu? I czy granice administracyjne naprawdę powinny być wyznaczane przez pryzmat partykularnych interesów, a nie w wyniku dialogu?

DECYZJA Z GÓRY

Zmiana granic, która pozbawia Gminę Kobylnica Bolesławic – jednej z najszybciej rozwijających się miejscowości w regionie – jest wynikiem decyzji rządu, podpisanej przez premiera 31 lipca. Dla wielu to decyzja, która nie uwzględnia woli lokalnych społeczności. Mieszkańcy Bolesławic, którzy niemal jednogłośnie sprzeciwili się przyłączeniu do Słupska, czują się zlekceważeni. Ich głos, będący w 99% sprzeciwem wobec zmianom granic, został zupełnie zignorowany. Kobylnica przez siedem miesięcy walczyła o zachowanie swojej integralności, organizując spotkania, przeprowadzając konsultacje społeczne oraz powołując się na opinie ekspertów. Niestety, na próżno. Rozporządzenie zostało podpisane, mimo że – jak wskazują dane – nie osiągnięto konsensusu.

Działania te zostały potraktowane jako formalność, a sama decyzja o włączeniu Bolesławic do Słupska stała się faktem bez przejrzystych konsultacji, wbrew silnemu oporowi społeczności lokalnej. To nie tylko zmiana granic, ale także symboliczny cios w zaufanie obywateli do procesu administracyjnego.

ARBITRALNOŚĆ NA KAŻDYM KROKU

Warto przyjrzeć się, jak decyzja o zmianie granic była procedowana. Początkowo, w pierwszym projekcie rozporządzenia, wprowadzono zasadę, że zmiana granic gminy powinna następować wyłącznie za zgodą obu samorządów. W kolejnej wersji, pojawiło się stwierdzenie, że porozumienie zostało zawarte – mimo że Kobylnica nigdy na to porozumienie nie wyraziła zgody. Wreszcie, w ostatnim etapie, decyzja Rządu stała się formalnością, podpisaną bez żadnego dialogu, wbrew stanowisku mieszkańców.

Taki proces rodzi niepokój o sposób, w jaki podejmowane są decyzje administracyjne. Gdzie w tym wszystkim jest szacunek dla lokalnych wspólnot, dla ich tożsamości i woli obywateli? Zamiast rozmowy, kompromisu i współpracy, Rząd zdecydował się na rozwiązanie, które przypomina działanie ponad głowami mieszkańców. Co gorsza, proces ten ma znamiona wyrywania decyzji administracyjnych z kontekstu rzeczywistego, lokalnego życia, pozbawionego jakiegokolwiek debaty czy wysłuchania głosów tych, których ta decyzja dotyczy najbardziej. A dokładnie 1507 mieszkańców Bolesławic, a wkrótce mieszkańców Słupska.

OBNIŻENIE STANDARDÓW DECYZJI POLITYCZNYCH

Decyzja o przyłączeniu Bolesławic to nie tylko lokalny problem. Jest to część szerszego trendu w polityce

terytorialnej, który może zmieniać standardy w podejmowaniu decyzji na poziomie krajowym. Zmiany w rozporządzeniu, w którym najpierw zapowiedziano konsultacje i zgodę samorządów, a następnie zostały one zignorowane, podważają zasadność decyzji Rządu. W artykule na portalu WartoWiedzieć.pl podkreślono, że proces przygotowania rozporządzenia był pełen nieścisłości, a same zmiany w projekcie były wprowadzane w ostatniej chwili, co dodatkowo podważyło zaufanie do tej procedury.

To obniżenie standardów w podejmowaniu decyzji stawia pytanie o przyszłość polskiego samorządu. Czy będziemy świadkami dalszej centralizacji decyzji, w których władze lokalne będą miały minimalny wpływ na kształtowanie przyszłości swoich wspólnot? Czy lokalne decyzje będą podejmowane w oparciu o rzeczywiste potrzeby społeczności, czy raczej staną się obiektem politycznych manewrów, które nie uwzględniają głosów obywateli? Tego rodzaju decyzje mogą stać się normą, a wtedy będziemy mieć do

czynienia z poważnym kryzysem demokracji lokalnej w Polsce.

CO OZNACZA TA DECYZJA DLA SPOŁECZNOŚCI?

Decyzja o włączeniu Bolesławic do Słupska nie pozostaje bez wpływu na mieszkańców całej gminy, których życie i codzienność zostały wstrząśnięte przez decyzję administracyjną, z której wynika nie tylko utrata dochodów, ale także zmiana charakteru i tożsamości lokalnej społeczności. Przyłączenie Bolesławic to jedno z najbardziej dramatycznych wydarzeń w historii Kobylnicy, które na długie lata może odbić się na rozwoju samorządu.

Szacuje się, że roczne straty w budżecie wyniosą około 9 milionów złotych, z czego ponad 7 milionów pochodzi z podatków PIT, które były kluczowe dla finansowania lokalnych inwestycji, usług publicznych oraz wsparcia dla mieszkańców. Jest to strata nie tylko finansowa, ale i strukturalna, która może paraliżować dalszy rozwój gminy.





fot. UM Kobylnica

Dla Kobylnicy oznacza to również poważne osłabienie możliwości inwestycyjnych, które wcześniej pozwalały na rozwój infrastruktury, oświaty, czy usług publicznych. Bez tych dochodów realizacja nowych projektów, jak budowa nowych dróg, modernizacja szkół, czy wsparcie dla lokalnych przedsiębiorstw, stanie się znacznie trudniejsza. Decyzja o utracie tej części dochodów to także krok wstecz w kwestii jakości życia mieszkańców – mniejsze możliwości finansowe oznaczają mniejsze możliwości na zapewnienie odpowiednich standardów edukacji, zdrowia czy opieki społecznej. W tej sytuacji, każda inwestycja, która była planowana w przyszłości, może zostać zamrożona lub opóźniona, co wpłynie na całą społeczność, w tym na jej młodszych członków, którzy powinni mieć dostęp do jak najlepszej edukacji i wsparcia.

Bolesławice, które przez lata były jednym z motorów rozwoju gminy, teraz staną się częścią większego organizmu administracyjnego – Słupska. Z jednej strony, Słupsk zyska teren, który pomoże zwiększyć jego dochody, z drugiej jednak, interesy

nowej dzielnicy mogą nie pokrywać się z interesami mieszkańców Bolesławic. Słupsk to większe miasto z odmiennymi priorytetami, a jego koncentracja na centralnych inwestycjach, takich jak rozbudowa centrum czy infrastruktury miejskiej, może nie uwzględniać lokalnych potrzeb mieszkańców Bolesławic. To, co było dla nich najważniejsze w codziennym życiu – bliskość do natury, lokalne inicjatywy, poczucie przynależności do małej wspólnoty – teraz może zostać zdominowane przez potrzeby dużego miasta, co może skutkować alienacją mieszkańców Bolesławic. Znikająca granica między wsią a miastem często wiąże się z utratą tego, co sprawiało, że miejsce to było tak wyjątkowe.

Dla Kobylnicy utrata Bolesławic to także głęboki cios w samo serce wspólnoty. To nie tylko utrata dochodów, ale i utrata części jej tożsamości, której mieszkańcy przez pokolenia byli częścią. Historia tego miejsca, kulturowe więzi i tradycje, które ukształtowały mieszkańców Bolesławic i Kobylnicy, teraz stają się przedmiotem zmiany. Granice administracyjne, które były przez dziesięciolecia stabilne, zmieniają

swoją formułę, a mieszkańcy Bolesławic czują się, jakby zostali „wymazani” z mapy swojej gminy.

W Słupsku, w obliczu powiększenia granic, można mówić o tzw. „rozwinięciu terytorialnym”, ale w kontekście całej sytuacji warto zadać pytanie: co naprawdę zyskuje miasto, gdy w ten sposób przejmuje teren, którego społeczność odczuwa głęboki sprzeciw? Rozwój administracyjny nie zawsze idzie w parze z rozwojem społecznym i wizerunkowym. Nowi mieszkańcy, przyłączeni do Słupska, mogą nie poczuć się częścią tego miasta, nie będą w stanie w pełni uczestniczyć w procesie tworzenia tożsamości miasta, które ich do siebie nie zaprasza. Wydaje się, że dla Słupska te obszary nie będą miały charakteru integralnej części miasta, lecz będą traktowane bardziej jako „dodatkowy obszar” zdominowany przez konieczność zarządzania zwiększoną liczbą mieszkańców i obciążeniem związanym z ich integracją.

Warto zatem zadać pytanie o dalszy los tej społeczności. Jakie są realne perspektywy mieszkańców Bolesławic? Czy obietnice rekompensat dla

gminy Kobylnica, które padły ze strony Słupska, będą rzeczywiste, czy pozostaną tylko na papierze? Wiemy, że w przeszłości podobne obietnice miały często charakter czysto formalny, a rzeczywistość po przejęciu terenów przez większe miasta często nie spełniała oczekiwań mieszkańców. Ostateczna odpowiedź na to pytanie pozostaje otwarta, ale już teraz można dostrzec, jak bardzo zmiana granic wpływa na jakość życia mieszkańców. To, co miało być "rozwiązaniem", dla wielu stało się stratą, której skala może być odczuwana przez pokolenia.

REPREZENTACJA MIESZKAŃCÓW – CZY GRANICE TO TYLKO KWESTIA ADMINISTRACYJNA?

Od stycznia 2026 roku mieszkańcy Bolesławic staną się formalnie częścią Słupska. Zmiana granic to nie tylko kwestia administracyjna – to początek nowego etapu, w którym nowi mieszkańcy będą zmieniać nie tylko adresy, ale nawet nazwy ulic. Miasto zapowiada, że niektóre z ulic Bolesławic znikną z mapy, ustępując miejsca nowym, słupskim nazwom, które mają pasować do przestrzeni miejskiej. Te zmiany mają wymiar symboliczny – mieszkańcy nie będą już identyfikować się z miejscami, które znali przez lata. To zmiana, która nie tylko dotyczy geograficznych granic, ale i tożsamości lokalnej społeczności.

Jednak te zmiany to nie tylko kwestia administracyjnych formalności. Mieszkańcy Bolesławic zostaną także pozbawieni reprezentacji w Radzie Miasta Słupska. Od stycznia w Radzie Miasta nie będzie nikogo, kto mógłby bronić ich interesów. Ich głos nie będzie brany pod uwagę w lokalnych wyborach, a teraz – po włączeniu do Słupska – pozostaną bez przedstawiciela, który będzie mówił w ich imieniu.



fot. UM Kobylnica

To sytuacja, która w świetle demokracji lokalnej jest absolutnie nieakceptowalna.

Zamiast zaproszenia do rozmowy, mieszkańcy Bolesławic zostali postawieni przed faktem dokonanym. Zamiast zorganizowanych spotkań, konsultacji czy choćby otwartej dyskusji, władze Słupska ograniczyły się do wrzucania ulotek do skrzynek pocztowych i publikowania postów na Facebooku. Takie traktowanie nowych mieszkańców jako „gapowiczów” i brak realnego zaangażowania w proces decyzyjny są oznaką braku szacunku dla obywatelskich praw i podstawowych zasad demokracji. Granice administracyjne nie mogą być wyznaczane w oderwaniu od głosu mieszkańców, którzy powinni mieć prawo wpływać na decyzje, które kształtują ich codzienne życie.

Przyłączenie Bolesławic do Słupska to nie tylko administracyjna zmiana. To również test na to, jak traktujemy obywateli i jak rozumiemy pojęcie wspólnoty. Gdy zmienia się coś tak fundamentalnego jak granice, powinna towarzyszyć temu dyskusja, a nie jednostronne decyzje. Mieszkańcy Bolesławic zasługiwali na więcej – zasługiwali na rozmowy, na przestrzeń do wyrażenia swoich obaw i na pewność, że ich głos ma znaczenie. Zamiast tego zostali zepchnięci na margines, traktowani jak obywatele drugiej kategorii.

Można zatem zapytać: czy granice, które wytyczają mapy, mogą być wyznaczone bez szacunku do ludzi, którzy żyją w ich obrębie? Czy administracyjne decyzje mogą być podejmowane w sposób, który nie uwzględnia człowieka, jego tożsamości, potrzeb i praw? Ta decyzja pozostawi głęboki ślad w społecznej tkance regionu – nie tylko w kontekście rozwoju administracyjnego, ale także w kwestii zaufania do samorządu i relacji obywatel-samorząd.

Prawdziwe zmiany, które mają znaczenie, nie polegają na bezosobowej manipulacji granicami, ale na współpracy, szacunku i rozmowie. I w tym przypadku, niestety, zabrakło tego wszystkiego.

Decyzja o przyłączeniu Bolesławic do Słupska stanowi ważny punkt w dyskusji o stanie polskiego samorządu. To nie tylko lokalna sprawa, ale także test dla standardów administracyjnych, jakie chcemy w Polsce budować. Władze Kobylnicy zapowiadają, że nie poddadzą się bez walki. Czy determinacja mieszkańców Bolesławic i ich samorządowców wystarczy, by odwrócić tę decyzję, czy przynajmniej wymusić na władzach Słupska realizację obietnic? Sprawa nie jest jeszcze zamknięta, a jej finał będzie miał duże znaczenie dla przyszłości polityki terytorialnej w Polsce.



fot. Morski Powiat Słupski

Inwestycja w zdrowie mieszkańców powiatu słupskiego: Nowa Pracownia Genetyki Medycznej przy Oddziale Hematologii i Transplantacji Szpiku

W Starostwie Powiatowym w Słupsku podpisano umowę o udzieleniu dotacji celowej w wysokości 100 000 złotych pomiędzy Powiatem Słupskim a Wojewódzkim Szpitalem Specjalistycznym im. Janusza Korczaka w Słupsku. Środki te przeznaczone zostaną na zakup nowoczesnych analizatorów genetycznych, które stanowią będą fundament nowo tworzonej Pracowni Genetyki Medycznej przy Oddziale Hematologii i Transplantacji Szpiku. Inwestycja ma na celu poprawę jakości diagnostyki nowotworów hematologicznych, takich jak białaczki czy chłoniaki, i skrócenie czasu oczekiwania na wyniki, co zwiększy skuteczność leczenia.

W podpisaniu umowy uczestniczyli Starosta Paweł Lisowski, Wicestarosta Marcin Kowalczyk oraz Członek Zarządu Wiesław Kamiński, a ze strony szpitala obecni byli Prezes Andrzej Sapiński, Wiceprezes Anetta Barna-Feszak oraz ordynator Oddziału Hematologii i Transplantacji Szpiku dr n. med. Wojciech Homenda.

HEMATOLOGIA: KLUCZOWA DZIEDZINA MEDYCYNY

Hematologia to dziedzina medycyny zajmująca się diagnostyką i leczeniem chorób krwi, w tym białaczek, chłoniaków i innych nowotworów hematologicznych. Choroby te, choć mogą dotknąć każdego, wymagają szybkiej i precyzyjnej diagnozy, aby leczenie mogło być jak najbardziej skuteczne.

Dzięki utworzeniu Pracowni Genetyki Medycznej w Słupsku, pacjenci z powiatu słupskiego zyskają możliwość szybszego postawienia diagnozy, bez konieczności wyjazdu do większych ośrodków medycznych. To duże ułatwienie, które poprawi jakość opieki zdrowotnej w regionie.

NOWOCZESNA DIAGNOSTYKA KROK W PRZYSZŁOŚĆ

Pracownia Genetyki Medycznej będzie wyposażona w specjalistyczne analizatory genetyczne, które pozwolą na precyzyjne badania genetyczne pacjentów. „Dzięki nowoczesnej aparaturze, będziemy w stanie dokładniej diagnozować choroby hematologiczne, co zwiększy skuteczność leczenia” – mówił dr Wojciech Homenda, ordynator Oddziału Hematologii.

Władze Powiatu Słupskiego od lat konsekwentnie wspierają rozwój lokalnej opieki zdrowotnej, traktując ją jako kluczowy element budowania bezpieczeństwa zdrowotnego mieszkańców. Dotacja na Pracownię Genetyki Medycznej to kolejny przykład zaangażowania samorządu w rozwój służby zdrowia w regionie. W poprzednich latach powiat wielokrotnie udzielał wsparcia słupskiemu szpitalowi, co zaowocowało poprawą jakości usług medycznych.

PRZEŁOM W DOSTĘPNOŚCI DIAGNOSTYKI

Utworzenie Pracowni Genetyki Medycznej to przełom w dostępie do zaawansowanej diagnostyki w regionie. Dzięki tej inwestycji mieszkańcy powiatu słupskiego nie będą musieli już jeździć do innych części Polski, aby przejść skomplikowane badania genetyczne. Nowa pracownia pozwoli na szybsze diagnozowanie chorób hematologicznych, co znacząco wpłynie na poprawę jakości leczenia i opieki medycznej.

Nowa pracownia genetyczna przy słupskim szpitalu ma zostać uruchomiona do końca 2025 roku, a zakup specjalistycznego sprzętu będzie kluczowym krokiem w kierunku zapewnienia mieszkańcom regionu dostępu do najnowocześniejszych metod diagnostycznych.



REDZIKOWO:

BIZNES DOBRZE CHRONIONY

W Województwie Pomorskim, w gminie Redzikowo, dojrzała projekt, który może w najbliższych latach zmienić gospodarczy krajobraz Pomorza Środkowego. Cichy, ale konsekwentny rozwój infrastruktury inwestycyjnej w Redzikowie-Wieszynie to nie chwyt marketingowy - to zapowiedź systemowego przesunięcia środka ciężkości lokalnej przedsiębiorczości.

Nie mamy tu hałaśliwej kampanii promocyjnej, nie ma też obietnic bez pokrycia. Zamiast tego: kilometry nowych dróg, tony kabli, rurociągów, uzbrojonych działek i decyzji administracyjnych - wszystko z myślą o inwestorze, który nie szuka fanfar, ale przewidywalności.

SKALA I PRECYZJA: 90 HEKATRÓW GOTOWE DO STARTU

Obszar inwestycyjny Redzikowo-Wieszyno to ponad 140 hektarów, z czego około 90 ha zostanie w pełni uzbrojonych do końca 2025 roku - z drogami, mediami, siecią energetyczną, światłowodami i kanalizacją. To jeden z największych tego typu projektów w północnej Polsce - nie tylko pod względem powierzchni, ale przede wszystkim jakości przygotowania.

Ta przestrzeń to odpowiedź na coraz częstszy problem polskiego rynku inwestycyjnego: brak dużych, spójnych, gotowych terenów przemysłowych poza metropoliami.

W czasach, gdy przedsiębiorcy zaczynają myśleć nie tylko o skali, ale też o kosztach logistyki i dostępności pracowników, takie lokalizacje jak Redzikowo stają się logiczną alternatywą.

INFRASTRUKTURA TO NIE HASŁO, TO LICZBY

- 7 kilometrów nowych dróg, w tym 11 odcinków gminnych - projektowanych z myślą o transporcie ciężkim,
- modernizacja i rozbudowa stacji uzdatniania wody w Wieszynie,
- pełna infrastruktura: kanalizacja sanitarna i deszczowa, sieć gazowa, energetyczna i telekomunikacyjna,
- oświetlenie uliczne, kanał technologiczny, odwodnienia - wszystko zgodnie z wymaganiami inwestorów przemysłowych.

Wartość inwestycji to ponad 54 mln zł, z czego ponad 50 mln pochodzi z dofinansowania rządowego w ramach programu Polski Ład.

Projekt realizowany przez samorząd Gminy Redzikowo to przykład planowania, które nie ogranicza się do wizji - ma budżet, harmonogram i cel. Doświadczenie w tym zakresie gmina nabywała, tworząc Strefę Ekonomiczną w Płaszewku, która stała się nie tylko wzorem dbałości o relacje z biznesem, ale i potwierdzeniem, że konsekwentne inwestowanie w infrastrukturę przynosi trwałe efekty.

REDZIKOWO: WIĘCEJ NIŻ LOKALIZACJA

Położenie Redzikowa przy ekspresowej trasie S6 - kręgosłupie transportowym północnej Polski - to nie tylko atut geograficzny. To realne korzyści kosztowe i logistyczne.

Bliskość Słupska (ok. 5 minut jazdy), Ustki (25 km) oraz portów w Gdyni i Gdańsku (100-130 km) tworzy sieć powiązań infrastrukturalnych, która przyciąga coraz wię-

cej firm z sektorów: produkcji, magazynowania, logistyki i usług specjalistycznych.

W strefie od kilku lat z powodzeniem działają firmy z różnych branż, które wybrały Redzikowo dzięki stabilnym warunkom i partnerskiej współpracy z samorządem. Obecna inwestycja jest naturalną kontynuacją tej konsekwentnej, wieloletniej polityki rozwojowej. Dla nowych przedsiębiorstw z sektora przemysłowego to kierunek o „złotym potencjale” – sprawdzony w praktyce, a wciąż wolny od nadmiernego zatłoczenia.

Ale to także miejsce, które może zmienić społeczny układ regionu – każda nowa firma to nowe miejsca pracy, nie tylko dla mieszkańców Redzikowa, ale również dla ludzi z całego Pomorza Środkowego. W praktyce oznacza to rozwój edukacji zawodowej, wzrost lokalnego dochodu rozporządzalnego, a w dłuższej perspektywie – budowanie silnej, odpornej klasy średniej w regionie.

To inwestycja nie tylko w gminę. To inwestycja w ludzi. W ich kompetencje, bezpieczeństwo ekonomiczne i szansę na życie bez konieczności migracji zarobkowej.

STREFA EKONOMICZNA BEZ SLOGANU

Często o strefach ekonomicznych mówi się jak o magicznych obszarach ulg podatkowych. Tymczasem Redzikowo-Wieszyno to przykład nowej generacji podejścia strefowego:

- opartego na realnych działaniach lokalnych władz,

- powiązanego z szerokim wsparciem instytucjonalnym (PAIH, ARP, Pomorska Agencja Rozwoju Regionalnego),
- i zintegrowanego z systemem Polskiej Strefy Inwestycji, która oferuje zwolnienia z CIT lub PIT dla nowych przedsięwzięć.

Nie chodzi tu tylko o pomoc publiczną. Inwestor w Redzikowie może liczyć na pełną opiekę projektową – od pilota inwestycyjnego, przez pomoc w pozyskiwaniu decyzji środowiskowych i budowlanych, po rekrutację i kontakty lokalne.

To cichy luksus obsługi – kluczowy zwłaszcza dla firm z kapitałem zagranicznym i dużych operatorów logistycznych.

GMINA, KTÓRA NIE ROŚNIE RAZEM Z REGIONEM

Gmina Redzikowo nie jest samorządem „na papierze”. Licząca dziś ponad 18 tys. mieszkańców, obejmuje 41 miejscowości, a jej populacja systematycznie rośnie. To nie tylko baza pracownicza – to również rozwijający się rynek konsumencki i otwarte środowisko społeczne.

W odróżnieniu od wielu samorządów, które z rozwojem gospodarczym mają problem tożsamościowy, Redzikowo traktuje biznes jako integralną część lokalnej tkanki. Od lat kojarzy się z przedsiębiorczością, a jej władze stawiają na profesjonalizm, a nie promocję.



fot. UG Redzikowo

Co więcej - rozwój tej strefy to zysk dla całego regionu słupskiego, który wciąż pozostaje poza głównym nurtem inwestycyjnych strumieni. Redzikowo może stać się jego gospodarczym stabilizatorem - łączącym interesy lokalne z interesem wspólnotowym.

STREFA PRZYSZŁOŚCI, NIE PRZESZŁOŚCI

Redzikowo-Wieszyno to nie muzeum pojęcia „strefa ekonomiczna”. To jego współczesna rewizja - nowy model myślenia o rozwoju regionalnym, w którym samorząd pełni rolę aktywną, partnerską i przewidującą. To projekt, który nie obiecuje - ale dostarcza. Miejsce, gdzie administracja lokalna działa nie jako zarządca przestrzeni, lecz jako realny współtwórca środowiska gospodarczego.

W czasach niepewności, geopolitycznych przetasowań i globalnych napięć inwestorzy szukają lokalizacji, które oferują więcej niż tylko grunt. Szukają ekosystemu: zaufania, przewidywalności, sprawczości. Redzikowo daje właśnie to - nie obietnicę potencjału, ale jego gotowy fundament. Nie tymczasowe okazje, lecz stabilne warunki do budowania przyszłości.

Gmina Redzikowo nie potrzebuje głośnych deklaracji. Działa z przekonaniem, że dobrze zaprojektowany rozwój nie wymaga rozgłosu, lecz konsekwencji. I tę konsekwencję widać w budżetach, harmonogramach, planach i partnerstwach, które są trwałe, nie sezonowe.

Strefa inwestycyjna w Redzikowie to nie sztuczka promocyjna, lecz faktyczna przewaga konkurencyjna - mierzona hektarami, kilometrami dróg, decyzjami o wsparciu i co równie ważne, cierpliwością, z jaką ten projekt dojrzewał.

Bo w gospodarce przyszłości nie będą wygrywać ci, którzy obiecywali najwięcej. Wygrają ci, którzy naprawdę się przygotowali. I którzy mają odwagę budować długofalowo - nie tylko dla siebie, ale dla całego regionu.



fot. UG Redzikowo



www.investinredzikowo.pl

MECZ GWIAZD W SŁUPSKU



MECZ GWIAZD

Sportowe święto z sercem, które pokazało siłę społeczności i... w mojej ocenie, bolesny brak solidarności.

Słuską halę Gryfia 19 lipca 2025 tego roku wypełniła kilkusetosobowa widownia. Było wszystko co trzeba: świetna organizacja, emocje na parkiecie, atrakcje w trakcie i po meczu. Niesamowita zabawa i jeden wspólny cel: pomoc dla 19-letniego Daniela Serdiukowa.

Po 25 latach Mecz Gwiazd powrócił do miasta, które koszykówką żyje na co dzień. Ale choć na parkiecie i trybunach działy się rzeczy piękne, trudno nie zauważyć cienia, który położył się na tym wydarzeniu - zabrakło symbolicznego gestu, choćby obecności, ze strony władz klubu koszykarskiego ze Słupska. Mimo zaproszeń na wydarzenie i szerokiej kampanii w mediach lokalnych i społecznościowych.

WYDARZENIE WIĘKSZE NIŻ MECZ

Mecz Gwiazd to nie był zwykły pokaz umiejętności - to był manifest solidarności i empatii.

Wydarzenie zorganizowali: Paweł Leończyk, były reprezentant Polski oraz Artur Pacek i Konrad Kaźmierczyk



fot. arch. Getbetter

z firmy GETBETTER, a wspierali je zawodnicy z całej Polski. Na parkiecie pojawili się m.in.: Michał Michalak, Tomasz Gielo, Damian Kulig, Krzysztof Sulima, Szymon Rduch i wielu innych.

Udział w wydarzeniu wzięli też najbardziej znani sędziowie między innymi: Jakub Zamojski, Marcin Kowalski, Tomasz Trawicki i znakomici prowadzący: David Brembly (koszykarz) i Wojciech Michałowicz (dziennikarz sportowy).

ORGANIZACJA

- Najłatwiejszą rzeczą przy organizacji tego spotkania było zebranie zawodników. Żaden z nich, żaden z tych, do których wykonałmy telefon, nie odmówił - mówi Paweł Leończyk. - W działania, które doprowadziły do tego meczu włączyło się wiele osób - to nie tylko Artur, Konrad czy ja. To także spora liczba tych, którzy chcieli być częścią tej imprezy - dodaje.

Celem imprezy była pomoc dla Daniela - chłopaka, który mimo choroby wciąż marzy o powrocie na boisko. Choć nie pochodzi ze Słupska, jego historia poruszyła całe środowisko koszykarskie. A sam wybór beneficjenta również nie był przypadkowy.

- Znaczenie ma sam fakt pomocy. Chcieliśmy, aby w tym pierwszym po latach meczu wsparcie udzielone było człowiekowi związanemu z koszykówką. Docierały do nas głosy: „ale on nie stąd, nie od nas”. Przecież gdyby młody sportowiec ze Słupska - a wielu jest takich - grał w Treflu Sopot czy jakimkolwiek innym klubie, też wsparlibyśmy to wydarzenie - tłumaczy Leończyk. - To inicjatywa szlachetna, potrzebna i pokazująca, że nasze sportowe, koszykarskie środowisko, jest gotowe na tego typu działania - dodaje.



fot. arch. Getbetter

WSTYD, PANOWIE

Mecz Gwiazd to wydarzenie, które z definicji powinno łączyć ludzi i środowiska. Jest okazją do tego, by pokazać, że koszykówka w Słupsku to coś więcej niż wynik na tablicy. Dziwi mnie fakt, że w mieście, które tak ceni sobie ten sport, nie wykorzystuje się potencjału ludzi - sportowców, trenerów, wychowawców - którzy mają wiedzę, umiejętności i serce. Mamy za to monopolistę, czyli klub, który dba wyłącznie o własne interesy. W mojej ocenie - to wstyd.

To właśnie w takich momentach - społecznych, otwartych, oddolnych - powinno się okazywać wsparcie. Tymczasem słupski klub, który sam od lat korzysta z lokalnych emocji, oddania kibiców i publicznych pieniędzy - pozostał obojętny.

SPOŁECZNOŚĆ NIE ZAWIODŁA

Na szczęście społeczność koszykarska pokazała, że nie potrzebuje formalnych struktur, by działać. Że siła leży w ludziach - tych, którzy przyszli, pomogli, licytowali, grali i dopingowali.

Zebrano znaczną część potrzebnej na leczenie Daniela kwoty. Ale przede wszystkim pokazano, że koszykówka

może być przestrzenią solidarności, nie tylko rywalizacji.

- Koszykówka to nie tylko wynik na tablicy. To wspólnota, odpowiedzialność. Taki dzień powinien być wspólnym świętem. Szkoda, że nie wszyscy to zrozumieli - powiedział jeden z uczestników wydarzenia.

Wydarzenia integrujące społeczność sportową mają realne, wymierne korzyści - nie tylko finansowe, ale przede wszystkim społeczne.

Pokazują, że można działać razem, że sport może być wartością, także dla ludzi z nim nie związanych.

Lipcowy Mecz Gwiazd w Słupsku był dowodem na to, że zawodnicy, ci którzy wciąż grają i którzy ligowe sukcesy mają już za sobą, chcą i potrafią pomagać. Że mają pasję, wiedzę i serce. I że warto dawać im przestrzeń - zamiast zamykać ją w klubowych korytarzach i personalnych kalkulacjach.

Paweł Leończyk, Artur Pacek i Konrad Kaźmierczyk udowodnili, że sport łączy nie dzieli. Przyciągali jak magnes tych, którzy chcieli pomóc, dając swój czas, umiejętności i serce.

I to ma wartość.

A. Ka



fot. A. Ka



fot. arch. Getbetter

GMINNE ŚWIĘTO PŁONÓW

30/08/25

TEREN PRZY CKIP
W KOBYLNICY

WSTĘP WOLNY

PROGRAM:

GODZ. 14:00 MSZA ŚWIĘTA W KOŚCIELE PW. NAJŚWIĘTSZEGO SERCA PANA JEZUSA W KOBYLNICY

GODZ. 15:00 PRZEMARSZ KOROWODU DOŻYNKOWEGO

GODZ. 15:30 UROCZYSTE OTWARCIE

GODZ. 15:45-18:00 WYSTĘPY ARTYSTYCZNE SOLISTÓW I LOKALNYCH ZESPOŁÓW

(ALE BABKI, RAJ POWER, ZESPÓŁ KOBYLNICA), ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSÓW DOŻYNKOWYCH,
NARODOWE CZYTANIE

GODZ. 18:15-19:15 KONCERT ZESPOŁU TREBUNIE-TUTKI

GODZ. 19:30 GWIAZDA WIECZORU CZADOMAN

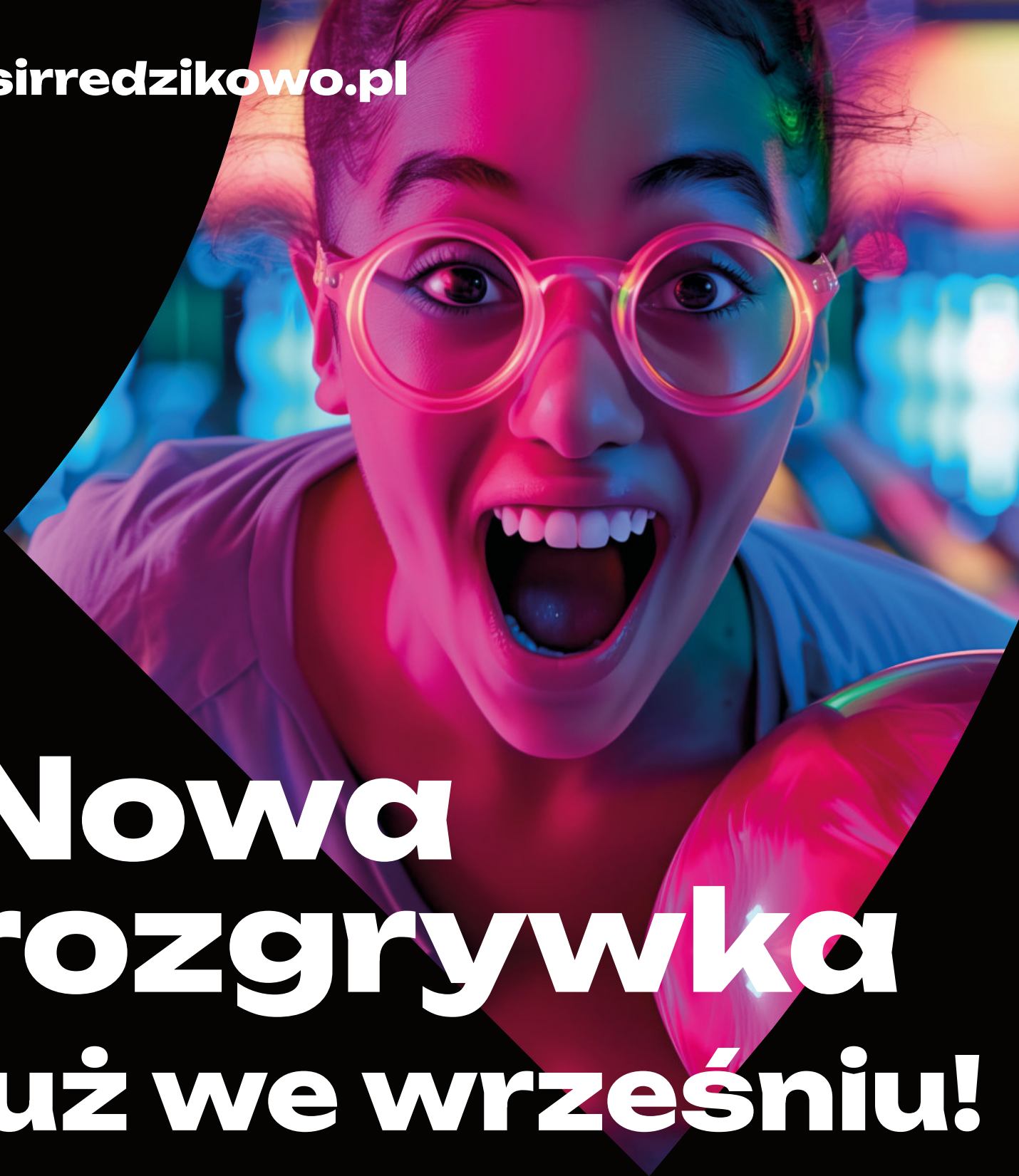
GODZ. 20:30-23:00 ZABAWA Z DJ-EM

PONADTO:

STREFA GASTRONOMICZNA, STREFA DLA DZIECI, ANIMACJE I WARSZTATY, DMUCHAŃCE, BIBLIOTEKA POD CHMURAMI



osirredzikowo.pl



**Nowa
rozgrywka
już we wrześniu!**

KRĘGIELNIA
PARK REDZIKOWO